

EPITAPHIUM

IGNACEGO MACIEJOWSKIEGO

SEWERA



EPITAPHIUM
IGNACEGO MACIEJOWSKIEGO
SEWERA

LAT PRZEŻYTYCH
RZECZYPOSPOLITEJ POWOŁANEGO PISARZA
NA SŁUŻBIE DUCHA
KU ODRODZENIU NARODU ZAPRZYSIĘGŁEJ
ZGONEM
Z LEGIONU ŻYWYCH POJMANEGO
DRUCHOWIE PRZYJACIELE A BRACIA MŁODSI
MYŚLĄ PRZEŚCIGŁĄ ZA ONYM SIĘ OGLĄDAJĄC
WE WIEŃCU NIEŚMIERTELNYCH IDĄCYM
ZEBRALI I W KSIĘGĘ ZWARLI
W KRAKOWIE W STYCZNIU 1902 ROKU.



62702

PRZECZUCIOWOŚĆ W TWÓRCZOŚCI SEWERA.

Mnożą się koło nas, tak w literaturze, jak w życiu objawy świadczące, że wstępujemy w podwoje nowego okresu. Po okresie Mickiewicza, po trzydziestoleciu romantyczno-mistycznych marzeń nastąpiły były, też trzydziestoletnie, rządy krytycyzmu z hasłem pracy organicznej. Pracę tę od pierwszej chwili pojęto rozmaicie: w Warszawie szukano do niej podstaw w filozofii pozytywnej, w Krakowie usiłowano ją oprzeć o naukę Kościoła. Lecz i tu i tam było nam, młodym wówczas, duszno i ciasno, czuliśmy rozpacz niemożliwości stworzenia innych haseł, wzdychaliśmy jednak do słońca, do ostrych krzepiących powiewów. I zdawało się nam, że znajdujemy je w twórczości powieściowej Jeża; w trylogii jego, zwłaszcza w pysznym zakończeniu jej „Wnuk chorążego“ (Warszawa 1881) chcieliśmy widzieć syntezę dwóch okresów, dwóch kierunków: romantyzmu i pozytywizmu. Ale był to tylko romantyzmem owiany pozytywizm, — jednostronny pozytywizm, gardzący zrośniętą z duszą ludzką i stanowiącą jej najszlachetniejszy pierwiastek: tęsknotą nieskończoności.

Z drugiej strony nie pociągał, nawet tych z nas, którzyśmy żywą wiarę z domu wynieśli, kierunek ówczesny katolicki, oschły, bez poezji i mistyki, ze stanowczą przewagą pierwiastku socjalnego i politycznego nad metafizycznym.

Powoli niezadowolenie z jałowości krytycyzmu ogarniało i tych, którzy z kierunku tego wyszli i za jego przedstawicieli uważani byli. Orzeszkowa, Prus, Sienkiewicz, każdy we właściwy sobie sposób, ale im dalej, tem silniej i piękniej, zabarwiali twórczość swoją uczuciem religijnym; wreszcie wśród młodych i najmłodszych zjawiali się tacy, których dusze żywym były protestem przeciw ciasnocie pozytywistycznego sposobu myślenia, żywym pragnieniem naszych nieskończonych widnokręgów.

O Syntezie dumań Mickiewicza z epoką następną, mesyanizmu z krytycyzmem marzył St. Szczepanowski, chcąc ją widzieć przede wszystkim w zakresie czynu, Syntezy tej czekamy ciągle.

Cała twórczość Sewera jest tej przyszłej syntezy przecuciem. Ten wyraz określa ją najlepiej.

Źródłem jego rozjaśnienia wewnętrznego było przecucie, którego się chwycił i w którym tonął duszą całą. W zwycięstwo prawdy wierzono również w okresie romantyzmu, ale wiara ta była logicznym następstwem świadomości ogromu cierpień, skojarzonej z religijnym poglądem na świat, który nie dopuszczał bezcelowości i bezmyślności w życiu i w dziejach i przeto nadawał cierpieniu znaczenie głębsze, opatrnościowe. Tłem do natchnień naszych romantyków były rozmyślenia zrodzone w otchłaniach boleści i tęsknot. Te głębie myśli i uczuć obce były Sewerowi. Był w nim pośpiech młodzieńczości. Przyszłość przedstawiała mu się, jako szczyt skąpany w blasku słońca. Z obrazem świeżości i rozkoszy słonecznych szczytów górskich nierozłącznie wiąże się we mnie myśl o twórczości Sewera. Ku szczytowi temu podążał on; na spotkanie szły wolne powiewy, niosące przecucia nieskończonej radości dziewiczych wyżyn. Upojony radością tą, przez nią patrzył Sewer na wszystko, co go otaczało, i szedł coraz raźniej, i nie spostrzegał, że szedł sam, że opuszczali go jedni, pozostając w tyle, a inni zbaczali na odmienne drogi.

Przecucie napełniało go wiarą w młodość: w każdym prądzie nowym z zapalem wyszukiwał pierwiastków zwiastujących tryumf światła, — i to go czyniło przyjacielem wszystkich młodych.

Doskonałym tego nastroju wyrazem jest wydana w ostatnim roku życia Sewera *Legenda*. Autor przedstawił tu, w listach Gućia i Zosi wrzenie kierunków młodych, wyłaniających z siebie owo szczęśliwe przecucie chwili, w której myśli i pragnienia dni nowych opromieni i uświęci słońce ideałów romantyzmu. Panią tego „mło-

dego“ jest sztuka, ale ta, co na miejscu „podłej kadencji, głupiego sensu, głępszej logiki“ stawia „suggestyą płynącą z nastroju“, istotą którego jest tęsknota, przeobrażona we „wściekłe pożądanie“ „na ciche jezioro szczęścia plująca odrazą i wstrętem“. — Urokowi Gućia podległa Zosia i czuje na sobie złowrogi wpływ tej sztuki i poezji, którą w kole jego czczą, tych „wizyj dzikich i dzikich wybuchów przyrody, święcącej swój sabat“, ale są w niej pierwiastki zdrowe, jest żywa religijność, jest cześć dla tradycji wyniesiona z pod strzechy rodzinnego dworku szlacheckiego, w którym swe lata dziecięce spędziła, jest zapal dla wielkiej poezji przyszłości i oparte na nim przeświadczenie, że „poezja i życie mają jedną podstawę: godność własną i jeden cel: — dążenie do doskonałości“. Więc wie ona, że „rzetelna poezja duszy jest poezją czynu, wiecznym życiem“ i poddaje się dobroczynnemu działaniu tej myśli; pisze do Gućia, że zamiast blasków i huraganów młodości „senność idzie od was, senność męcząca, bezwładna, kamienna, wieczna senność przerywana orgią, aby po niej sen cięższy był i jeszcze więcej nużący“. I ucieka od złudzeń ich i kłamstwa, rzuca miasto i bezduszne spory o nagości duszy, a przyjąwszy posadę nauczycielki ludowej, na tem stanowisku poezją czynu uprawiać postanawia.

Obraz jej nowego życia skreślił Sewer z jakąś dziwną wyłącznie Sewerowską słodyczą, dziecięcą, jakby żywcem z odległej epoki prostych uczuć i prostej wiary, Gotyku i Fra Angelica przeniesioną w duszność wyrafinowania i sceptycyzmu naszej zgrzybiałej rozkładającej się cywilizacji. Tęsknota, która w mieście u adeptów nowego kierunku była „wściekłym pożądanym“ tu, w tem nowem a cichem otoczeniu, przybiera cichą i szlachetną postać uczucia, zbliżającego duszę do nieskończoności i Boga. „Tęsknotą — mówi Zosia — odczuwają się tchnienia idące do nas od Boga; tęsknotą kochamy świat i ziemię... „Mój Boże, za tę ciszę, którąś mnie tu otoczył, za te serca co idą do mnie, za ich dobre uśmiechy, przysięgam

łagodzić ich bole i prowadzić do słońca... Dobrze mi tu, lud szorstki ale nasz, swojskość bije od niego i bierze..." „Zasnęła. Śniła, że otoczona gromadą dzieci i ludzi, bawi się na łące zasłanej kwieciami; Józia była z nią, kierownik nazywał ją panią z kanapy;... serdeczność płynęła z kielichów kwiatów, słońce otulało ich ciepłymi promieniami, skowronki siadały im na ramionach, melodie wydobywały się ze szmeru płynących strumyków"... Opowiada dzieciom ze szkoły legendę o królowie, co porzuciła swe królestwo, aby uczyć wiejskie dzieci. A te rozkochane w jej dobroci, legendę tę przystosowują do niej i z ust dziecinnych idzie w lud nowa legenda, tworząca kult nowoprzybyłej nauczycielki, głosząca, że sama „Święta Panienska ją przygnała“.

Ale z listów Gucia, z jego pożądlivo miłośnych wynurzeń i ich niezdrowej dekadentycznej poetyczności wieje urok, który zakłóca spokój Zosi. Ogarnia ją nieraz wątpliwość: czy dobrze zrobiła, że porzuciła Gucia, oddając go na pastwę jego fantazyjnym zachceniom i przywidzeniom! czyby nie należało wrócić i ratować tę chorą ale bogatą duszę; czy wreszcie te wizje, ta poezja, której się oddał, jest tylko zwyrodnieniem i niemocą? Wszak jej forma tak ponętna i nowa? Więc musi w niej tkwić jakiś pierwiastek dobry. Powątpiewania jej rozwiązuje Stefan, najtrzeźwiejszy z młodych. Nie przecenia on nowego prądu i nowej poezji: to „gonitwa za mistycyzmami dusz bez wiary w duszę“, to „cygańska muzyka słów“, to sztuczność, ale „gdzie natura sili się do stworzenia nowego typu, tam powstają najpierw monstra pozbawione harmonii w kształtach, lecz posiadające zadatek przyszłego rozwoju: — siłę"... „Padają ziemnowodne jaszczury z ogromnymi brzuchami, na krótkich nogach, z długą wypełzłą szyją, z komicznymi pletwami, niszczy je sama natura, lecz żyje orzeł, który się z nich rozwinął“. Otóż pomimo dziwaczności całej, a nieraz i potworności, poezja nowa ma siłę i rozpęd, jest w niej szukanie nowych form, jest pogłębienie psychologii, wnosi ona nowe

myśli, tylko nie jest polską, „nie ma piastowskiej twarzy"... „Nowy wielki ruch ducha pocznie się nie z tej mgławicy; siły swoje zaczerpnie tam, dokąd dotarły genialne duchy naszych wielkich poetów, nową stworzy filozofię, nowe pojęcia świata i poda ją, jako dar słowiańskiej myśli, zbankrutowanym umysłem Zachodu; odrodzi serce ludzkie przez chrześcijaństwo czyste, przez życie na sercu oparte, sięgnie do duszy ludu, umocni się w niej i porwie ją z sobą; przyniesie sztukę nową!"... „Błyskawice jej drgnęły już w twórczości Mickiewicza, Chopina, Słowackiego. Będzie w tym ruchu duch harmonii między kulturą Zachodu i Wschodu, a źródłem jego ziemia, leżąca na pograniczu tych światów, i naród, co oba te światy, jak dwie twarze wziął w siebie i stopił je w jedną duszę"...

Aby chwilę tę przyspieszyć, trzeba „wziąć w siebie duszę ludu, bo tylko z niego wyszło, co jest w nas dobre i potężne"...

Słowem, wnosi ztąd Zosia, są we wrzeniu nowych dusz i ich poezji zadatki przyszłości. Więc tę lepszą część w duszy Gucia można i należy wyzwolić z obłądzenia chorych wizyj i samoubóstwienia, stanowiącego kres wszelkich szukań nagiej duszy — i wrócić ją Bogu i ludzkości.

I znowu wyrusza Zosia w gwar miasta, we wrzenie młodych pragnień i obłądów, to jej powinność, „każe mi to prawda, co mieszka we mnie“, a rozżalone kobiety i dzieci mówią, że to za ich grzechy Święta Panienska ją zabrała... Ale niedługo ich żal, wraz z jesienią wraca Zosia, jak jesień, smutna i pogodna. Co się z nią w mieście działo — nie wiemy, domyślamy się tylko, że pogrzebała tam na wieki swą miłość, i że odtąd pozostało jej jedno: praca na wsi i w szkole, cicha poezja czynu, której niepodzielnie przyniesie siebie w ofierze: „Już więcej szatan pychy nie szepcze nam swych wizyj, swych szatów i zwycięstw... Pokorni, bratamy się z przyczyną i logiką, bierzemy na barki obowiązek, miłość rozpala nam serce, dobro prostuje ścieżki, idziemy cisi i skromni spełniać nasze zadanie w przykazaniu nowego zakonu: — Kochaj!...

Z piekła, zwyrodniałych ekstaz i fałszywych bólów“, „z domu niewoli“ wywiódł ją Bóg „na szerokie łany naszych pól i zapachów do ludzi prostych i naiwnych, u których myśli kiełkują razem z pragnieniami zbawienia duszy“. I wie ona, że budząc te myśli i zarazem biorąc je w siebie, staje ona najbliższej pragnień epoki, przyspiesza ruch, który „siły swoje zaczerpnie sam, dokąd dotarły duchy naszych wieszczów“ !...

Nieokreślone to i rozwiewne, jak każde przeczucie, a jednak głęboko trafne w ocenie prądu, jak w odgadnięciu tego, że powrót do Mickiewicza i ideałów jego epoki stanowić ma znamię przyszłego, a może już się rozpoczynającego kierunku. Jesteśmy naokoło przedmiotem nienawiści potężnych swą siłą fizyczną a silących się nas zmiążyć; jedyną na nią odpowiedzią może być wiara, która ożywiła Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.

:NAPISAŁ MARYAN ZDZIECHOWSKI:

:Z GŁĘBIN:

Szliśmy po szczytach skał nadbrzeżnych, fale łamały się nam u stóp; często piana bryzgała wprost na nas. Mój towarzysz szedł naprzód, pewnym krokiem; nie zachwiał się ni razu. Obeszliśmy ogromną część wyspy idąc ciągle tuż nad brzegiem morza. Nareszcie znaleźliśmy się w rodzaju wąskiej zatoki, a raczej pęknięcia wśród skał szerokiego może na dwa lub trzy kroki.

Staliśmy tuż nad brzegiem morza po jednej stronie pęknięcia; druga strona była to prosta, pionowa ściana z żółtej skały. Od strony morza, raz po raz wpadały szalone fale i wypełniały całą szczelinę pieniąc się i łamiąc. Kiedy się fale cofały, spostrzegałem tuż przy powierzchni wody jamę ciemną, wyglądającą na wejście do jakiejś groty; każda nowa fala zakrywała ją zupełnie.

„To tutaj“ mówił, a raczej krzychał mój przewodnik; „słuchaj! Jak się fala cofnie, skoczysz razem ze mną. Niczego się nie bój. Staraj się schwycić ręką za brzeg skały i odrazu wchodź w jamę. Tylko szybko! No! daj rękę!“

Właśnie fala się cofnęła; a zanim zdołałem się namyślić, mój towarzysz pociągnął mnie lekko za rękę i buchnęliśmy obaj w wodę... Oszło mi trochę, ale jednym uderzeniem ręki w wodę zbliżyliśmy się do otworu i wsunęliśmy się w niego natychmiast. Poczułem tylko, że mnie mój towarzysz pociągnął szybko za rękę o parę kroków, usłyszałem za sobą trzask jakby zapadających ciężkich drzwi spiżowych a w chwilę potem ryk fali wpadającej i głucho uderzenie masy wody...

W zupełnej ciemności przebiegliśmy kilkadziesiąt kroków; znów zgrzyt otwieranych i za nami zatraskujących się ciężkich drzwi.

Towarzysz mój zwolnił kroku.

„No! przybyliśmy; czekaj, zaraz będziemy mieli światło“.

Opuścił mnie, słyszałem, że uszedł kilka kroków i nagle ujrzałem

zielonawe światło, jakby robaczka świętojańskiego, lecz nieporównanie jaśniejsze.

Wychodziło z czterech kul, znajdujących się w czterech rogach jakiejś dużej sali podpartej na dwóch szeregach rzymskich kolumn. Pod dwoma kolumnami rozróżniłem przepyszne greckie spiżowe posągi: Apollo i Neptun; pod resztą stały hermy marmurowe. — Podłoga z gładkiej mozaiki; ściany również mozaikowe barwne i złote: całość robiła wrażenie rzymskiej sali...

W przeciwległej ścianie dojrzałem duże drzwi, do pół otwarte a poza nimi jasno oświetlony drugi pokój. Ogromny stół stał tam pośrodku; na nim cała bateria flaszek mniejszych i większych, kolb, retort, jakieś dziwne przyrządy i przepyszny mikroskop najnowszej konstrukcji. Postąpiłem o parę kroków i ujrzałem tam pod ścianami rzędy szklanych basenów z wodą, jedne otwarte, inne pozastłaniane, na innych jakieś dziwne przyrządy. Przez wszystkie krążyła woda szmerząc cichutko...

Otwierałem oczy ze zdumienia nie wiedząc co najpierw oglądać, ale byłem pewny, że nie śpię, bo mię ziębiło moje ubranie zmoczone do nitki. Mój towarzysz kręcił się tymczasem jak w własnym mieszkaniu. Otwierał jakieś szafy i skrytki, dobywał jakieś dziwne ubrania, a ciągle gadał.

„No widzisz! no, jakże tu? pięknie? oho! Tyberyusz wiedział co ładne i umiał to dobrze chować. Aleś ty biedaku zmoczony! no, no, czekaj zaraz cię tu odzieję! — A co? dziwisz się mojej pracowni? Tak, tak; kto chce pracować, ten wszędzie może! — Mój Boże, tyle lat, tyle lat! I Polak! przyrodnik!...

Zbliżył się do mnie, zaczął bez ceremonii pomagać mi do ściągnięcia ubrania a obok położył dla mnie cały jakiś strój. Było to ubranie obcisłe, które się wdziewało odrazu na całe ciało; przylegało mocno, jak trykot, bo było zrobione z jakiejś bardzo rozciągliwej materii. Wewnątrz i zewnątrz było pokryte gęstym włosiem jak

aksamit; a tylko od wewnątrz włos ten był nieco krótszy i twardy, na zewnątrz zaś było to futerko o włoskach niesłychanie subtelnych i dość długich.

Z rozkoszą zrzuciłem z siebie moje mokre ubranie i wdziałem ten nowy dziwny strój.

Było mi w nim ciepło i przyjemnie. Mój towarzysz ubrał się taksamo jak ja; w obcisłym ubraniu wyglądał przepysznie! Choć niski, był zbudowany silnie; jego prawie atletyczne mięśnie odrzynały się jak na posągu. Obaj mieliśmy ubrania zupełnie czarne; dochodziły wysoko pod szyję, rękawy przechodziły wprost w rękawiczki, sandały spajały się z resztą ubrania.

Byłem tak oszołomiony, że mówić nie mogłem; kręciłem się jak maszyna; wszystko to było dla mnie tak dziwnem, tak nowem. Usiadłem na niskim brązowym zydlu, obciągniętym skórą i chwyciłem chciwie opowiadanie mego przewodnika.

„Hej bracie! — myślałem że nas to zbawi, więc też biliśmy się jak lwy! Już nas było tylko dwunastu a jeszcze cała kompania do nas dostąpić nie mogła. Ale cóż; szelmy łupnęły do nas kartaczami raz i drugi — i zmiotło nas jak puch; — poczułem tylko, że mię coś między oczy palnęło jakby obuchem, a potem to już nie wiem co było. Obudziłem się w nocy — głowa bolała; miałem na czole guz jak pięść; dostałem widać bryłą ziemi wyrwaną przez kartacz — ale innych ran nie miałem. — Hej, miły Boże! przekradałem się, uciekałem, chowałem się — lądem i morzem człek się tułał; ażem się wreszcie dostał na tę wyspę... A tu mi z domu przyszły wiadomości, że już wszystko stracone, — a potem raz mi się we śnie moja biedaczka pokazała i mówi: Wojsko przyszło — skrzywdzili mnie — alem już umarła — biednyś ty!

— Hej, miły Boże! poszukałem sobie dobrego miejsca nad brzegiem, poszedłem tam gdzieśmy dziś razem byli — wiesz, w tej szczelinie skalistej, i — buch w wodę! Ale cóż! człeka się

życie mocniej trzyma niż ochota do śmierci. Dałem nura — zachłysnąłem się wodą i — zacząłem pływać. Jużem był na wierzchu, ale mię fala przykryła i zapędziła do jamy pod skałą. Chwytałem się skał jak mogłem i jakoś dostałem się na suche miejsce, ale w jamie. Widzę idzie nowa fala ku mnie; cofam się; czuję za sobą jakieś drzwi — pcham z całej siły — aż tu one otwierają się przedemną, a ledwiem się przez nie przesunął, zapadły; i zaraz w nie fala uderzyła...

Ciemność — idę naprzód po omacku — co chwila potrącam nogą o jakiś okrągły przedmiot; raz się schyliłem i dotknąłem go — poczułem czaszkę ludzką. Doszedłem do drugich drzwi — pcham — ani drgnęły. Macam po nich po ciemku i dotknąłem ręki szkieletu zawieszanej na drzwiach; palce jej przyschnęły do jakiegoś pierścienia... Pociągnąłem za ten pierścień — drzwi się cicho odsunęły; poszedłem dalej a drzwi zamknąłem za sobą. I doszedłem tutaj gdzie teraz jesteśmy...

Widzisz ten otwór w sklepieniu? Był on otwarty i przez niego wpadało mdłe światło do środka sali. Była taką jak i teraz a tylko na środku między kolumnami leżały dwa szkielety, jeden na drugim; oba w lekkich zbrojach, oba z mieczami w rękach... Pod tą oto kolumną siedział na ziemi, oparty o nią szkielet ze złotym naszyjnikiem — na nagiej czaszce miał dyadem królowej — między żebrami tkwił krótki sztylet“...

Umilkł na chwilę.

„I tutaj już zostałem; znalazłem drugie wyjście i tutaj już żyję. Uporządkowałem całą moją siedzibę i doszedłem do mnóstwa nowych rzeczy. Tutaj niegdyś mieszkał Tyberyusz; była to jego tajemna siedziba; siedziba męczeństw, orgii i sztuki. Tam, w tej framudze chował swój skarbiec. Patrzaj“!

To mówiąc nacisnął jeden z kamyków w ścianie mozaikowej; a w głębi sali otworzyła się duża, jasna nisza. Na środku, stał

na wysokiej, zielonej, marmurowej podstawie przesłiczny koń, ulany cały ze złota. Obok na ziemi leżały bryły drogiego kruszcu, stopy szlachetnych kamieni, klejnoty. Wszystko to mieniło się w mdłym świetle, jakimś zielonawym blaskiem...

„Widzisz! Tu dość zapasów, by was, tam na świecie kupić! Użyłem też tego by wam wziąć wiedzę. Mam tutaj pyszną bibliotekę no, a pracownię już widziałeś. Jesteśmy koledzy — przyrodnicy, tylko ty chcesz badać życie w głębiach morskich zabijając ich mieszkańców, ja zaś wprost do nich idę... To ubranie, które mamy obaj na sobie, pozwala mi schodzić do największych głębin. Woda się go nie czepia — a jeśli się zanurzę, to na delikatnym futerku przyczepia się cała warstwa powietrza, która mię chroni od wody i jej zimna. Biorę tylko szczelny kaptur na głowę z maską na twarz. I ciśnienia wielkich mas wody w głębinach przewyciężam z łatwością. W materyą, z której zrobiłem ubranie, wplotłem mnóstwo nitek i płytek stalowych; są one tak ułożone że, jeśli je spoję z sobą, tworzą silne i jednolite sklepienie opierające się wszelkiemu ciśnieniu. A spoić je bardzo łatwo“!

To mówiąc zbliżył się do mnie i przytknął do mego ramienia jakiś pręt odchodzący od ściany sali. Uczułem jakby lekkie uderzenie elektryczne a zarazem zauważyłem, że całe ubranie na mnie stwardło i zeszywniało. Miałem całe ciało ujęte jakby w pancerz, zginający się jednak i fałdujący z łatwością na wszystkich przegubach.

„Widzisz jakie to proste. Zamieniłem teraz wszystkie nici i płytki stalowe wśród ubrania na niezmiernie silne magnesy, które tak się ze sobą zespoliły, iż utworzyły jednolitą całość; zgiąć jej ku środkowi niepodobna!... A teraz — jedno uderzenie tym prętem a ubranie znów się rozluźnia!“

Byłem zachwycony; zacząłem też wypytywać o szczegóły urządzeń do tych podmorskich wypraw. Pokazało się, że on wynalazł takie rzeczy, o jakich nawet nie marzyłem. Pokazywał mi z ochotą całą

swą pracownię; aż mi się płakać chciało na myśl o moich tak skromnych środkach, jakimi do dziś dnia rozporządzałem.

Cały pokój do pracy oświetlony był jasnym światłem kulistej lampy stojącej na stole. Dotknąłem jej — była zimną zupełnie, choć stała silne, pełne, zielonawe promienie.

„Ach — dziwi cię to, że lampa nie grzeje“ — mówił — „mój drogi, dawno już zerwałem z waszemi sposobami oświetlania, choć kosztowało mię niemało trudu, nim do takiej lampy doszedłem. Widziałeś przecież nieraz robaczki świętojańskie; moja lampa tak samo świeci jak i one. Zrobiłem ją po dokładnem zbadaniu aparatów świecących u ryb... Mam tu kilka takich lamp; biorę je zawsze na wycieczki podmorskie“.

Słuchałem, uszom nie wierząc; rozglądałem się po pracowni a za każdym spojrzeniem odkrywałem nowe cuda.

On rozporządzał kompletną pracownią, cudną biblioteką; jak jemu musiało być dobrze! — Mówił do mnie dużo, objaśniał wszystko, zapalał się; każda jego nowa myśl tak go cieszyła; znać było, że duszę w swe pomysły przelewał.

Staliśmy właśnie około małego przyrządu stojącego pośrodku stołu. Był to jakiś małeńki przyrząd zegarowy, obracający walec ze złotej blachy. Do walca, podobnie jak w fonografie przytykała wskazówka zakończona niezmiernie ostrym dyamentem. Szła ona od przyrządziku złożonego z ogromnie skomplikowanego szeregu skrzyneczek z różnych metali; w niektórych były jakieś błonki przejrzyste.

Mój towarzysz stał się nagle ogromnie poważnym. Przez chwilę opatrywał swój przyrząd, poprawiał jakieś śrubki małeńkie, dotknął ledziutko palcem wskazówki.

„Słuchaj“ — rzecze.

Ujrzałem, że przyrząd zaczyna się bez szmeru poruszać, potem zaczęła drgać lekko wskazówka i równocześnie usłyszałem jakby jakiś gwar zmieszanych głosów. Robiło to wrażenie jakby mnó-

stwo ludzi mówiło w jakimś obcym języku, dość twardym; czasami wybijał się jeden głos silniej nad inne; czasem słyszałem jakby kłapanie nożycami; gwar to rósł, to cichnął...

„Słyszysz — mówią! one też mówią; ja to wiem! tak! — a teraz patrzaj“!

Przybliżył do walca duże szkło powiększające. Zobaczyłem na nim różne linie, faliste lub łamane, narysowane dyamentem.

„Widzisz“ mówił „tu taka fala narysowana, a tu — o! patrzaj takasama!“ — przystawił szkło do innego punktu na walcu: „a tu — patrzaj — znów ją masz! — Tak, tak! to mowa mój bracie, — inna niż ludzka, ale też mowa artykułowana, którą ja tym przyrządem podśluchałem u morskich zwierząt. Ten aparat zapisuje mi jak one się z sobą porozumiewają, a ten“ — tu pokazał szereg skrzyneczek — „przekłada to odrazu na dźwięki. Kiedy idę w morze, zabieram z sobą ten przyrząd i wprost słyszę co one mówią. Wiesz — ja tę mowę znam, ja ją rozumiem — i ty ją umieć będziesz, to łatwa! Odrazu cię nauczę“!

W głowie mi szumiało — nie, to chyba bajka, Jakto? Słyszeć i rozumieć mowę zwierząt?! Toż to marzenie!...

On tymczasem dobywał różne walce, zakładał je, powtarzał tesame dźwięki, a powoli i ja zacząłem chwytac drobne odcienia tonów i zacząłem trochę pojmować ów gwar.

Był zachwycony, — mnie krew w skroniach biła. W końcu wstawiliśmy nasz przyrząd do basenu gdzie było kilka morskich zwierząt i raz pierwszy słyszałem ich głosy i rozumiałem je!...

Noc przepędziłem na pysznem pośnaniu w rzymskim Cubiculum obok pracowni; nazajutrz odrazu ubrałem się w moje wodne futerko. Mój towarzysz opatrył mnie dokładnie na wszystkie strony, dał mi pas z latarką i jakimś woreczkiem u boku. Podprowadził mnie do jednego z kątów wielkiej rzymskiej sali, pociśnięciem jednej z rzeźb



na ścianie otworzył kryte drzwi i weszliśmy do małego pokoiku, gdzie w podłodze widać było ciężkie, spiżowe podwoje. Zdawało mi się, że słyszę z poza nich jakiś słaby szum.

Na ścianie wisiały już przygotowane dwa kaptury z tejsamej materii co i ubranie. Na twarz przyszły maski lekkie, przezryste, z okularami z grubych kawałków kryształu. Wdzialiśmy ten strój na głowy. Mój towarzysz dociągnął go na mnie dokładnie, i dotknął mnie i siebie prętem idącym od ściany; ubrania nasze zeszywniały. Na plecy wzięliśmy małe tornistry. Były w nich przyrządy służące nam do oddechania, tak obmyślane, że wydobywały z wody morskiej mnóstwo powietrza w niej rozpuszczonego i uwalniały je pod naszymi kapturami; z takim przyrządem można było całymi dniami pozostać pod wodą. Na nogi przyszły ciężkie sandały z złotą podeszwą.

Wreszcie obok latarki umieściliśmy nasze przyrządy do podświeczania zwierząt morskich. — Jeszcze raz obejrzał mię dokładnie, potem spokojnie otworzył drzwi w podłodze. Ukazał się szereg schodów idących bardzo stromo.

„No! naprzód, w imię Boże!”

Zaczelśmy schodzić po schodach w zupełnej ciemności — on nie dał świecić latarki. Po kilku minutach schodzenia uczułem, że mi nieco trudniej się poruszać choć równocześnie czuję się lżejszym;... widocznie jesteśmy już pod wodą...

Szliśmy ciągle w zupełnej ciemności trzymając się poręczy lub ściany. Po chwili schody się skończyły i teraz posuwaliśmy się jakimś pochylonym korytarzem, zdaje się, że wyżłobionym przez wodę. Na jego końcu błyszczało mdłe światło, jakby daleki otwór tunelu. Zbliżaliśmy się ku niemu dość szybko; rozróżniałem coraz lepiej wokoło siebie gładkie skały stanowiące ściany korytarza. Czasem zdawało mi się, że widzę jakby cień przesuwający się przez jasne tło otworu. Wreszcie spostrzegłem na ścianach jakieś chropowatości i jakby mech szary chwiejący się lekko, jakby za podmuchem

wiatru. Raz przypadkowo dotknąłem ręką ściany omszonej, i natychmiast mech zniknął na przestrzeni kilku metrów a skała wygładziła się prawie zupełnie. Ten mech, to były kolonie maleńkich żyjątek zrosłych w krzaczki drobniuchne; za mojem dotknięciem skurczyły się wszystkie i przyległy do ściany.

Im bliżej ku otworowi, tem częściej spostrzegałem siedzące na jego ścianach różne zwierzęta, gdzieniegdzie rosły pęki trawy morskiej dużej, puszystej, zaraz obok zupełnie do niej podobne zwierzęta krzaczaste. Zdaje się, że nie musieliśmy być bardzo głęboko pod wodą, gdyż już przy końcu korytarza czułem jakby rytmiczne powiewy wiatru. Były to fale, które tam, na górze szalały podczas sirocco. W takt tych uderzeń falowała trawa morska, falowały krzaczaste zwierzęta jakby w pokłonach przed nami...

Nareszcie doszliśmy do końca korytarza. Ujście jego był to otwór owalny wśród ogromnych głazów szarych. Na krawędziach kamieni, na każdym załomie dostrzegałem mnóstwo ogromnych ukwiałów. Były to zwierzęta podobne do krótkich woreczków, przyrosłe podstawą do skał, a dużym otworem, jakby potworną gębą zwrócone ku wodzie. Wokół otworu miały mnóstwo ramion, albo długich jak bicze, albo krótkich. Niektóre były szare, ale połyskiwały tęczą liliową; inne barwne, czerwone, zielonawe lub żółte; pstrzyły się na szarych kamieniach, jak jakieś dziwne potworne kwiaty. Stały wszystkie ciche i spokojne, chwiejąc się tylko i gnąc, wszystkie na raz, w takt powiewu fal. Czasem dostrzegłem, że jakieś maleńkie zwierzątko zbliża się ku ukwiałowi, a wtedy z błyskawiczną szybkością wszystkie ramiona na raz kurczyły się i wpychały je do gęby. Przez chwilę zwierzę drapieżne pozostawało skurczone, po chwili ramiona powoli prostowały się i ukwiał znów lśnił jak kwiat...

Między ukwiałami widziałem kuliste pęki jakiegoś czerwonego mchu; raz zdawało mi się, że wśród mchu coś błysnęło. Chciałem się dotknąć jednej kępy, ale nim zdołałem rękę wyciągnąć towarzysz

mój schwycił mię za ramię, krzyząc bym tego nie czynił; poczem, wziął kamień leżący około nas i upuścił ostrożnie na jedną z kęp. Zerwała się ona natychmiast, ujrzałem tylko dwoje wściekłych czerwonych oczu i ogromną paszczę. Była to skorpena, ryba mająca kolce jadowite a skórę jakby omszoną. Około nas mnóstwo ich siedziało bez ruchu na skałach, czatując na zdobycz, a łudząc swą barwą i kształtem.

Mój towarzysz przysunął się bliżej do mnie; wyglądał on teraz przepysznie! Warstwa powietrza, przyczepiona do włosków ubrania, lśniła jak rtęć; tylko przejrzysta maska na twarzy pozwalała dojrzeć jego poczciwą twarz. Z lśniącym kapturem na głowie, wyglądał jak rycerz ubrany w cudną zbroję ze srebra.

„No, mój bracie“ mówił — „jesteś teraz dwieście metrów pod wodą. Czas nam zaglądnąć do głębin najdalszych“.

To mówiąc wydobył ze swego woreczka płat jakiejś materii, coś jakby spadochron i zaczął go sobie przypinać do ramion. Naśladowałem go we wszystkim.

Podeszliśmy razem do brzegu otworu korytarza. Stanowił on jakby okno w skale zupełnie gładkiej i prostopadłej.

Ujął mię mocno za rękę, postąpiliśmy na sam brzeżek okna skalistego. Jedno silne odbicie nogą — i puściliśmy się w zielonomodry przestwór...

Spadochrony nasze rozwinęły się odrazu i sunęliśmy dość wolno prosto w dół, krając wodę. Szumiało mi trochę w uszach, byłem lekko odurzony. Zanurzaliśmy się coraz głębiej, z jasności zielonawej przechodziliśmy do zupełnej ciemności; raz przesunęło się około nas jakieś jakby widmo świecące... i lecieliśmy w coraz czarniejszą głębię...

Nagle pod sobą ujrzałem jakby płaszczyznę świetlaną. Za chwilę rozróżniłem coś, jakby krzewy pokryte myriadami robaczków świętojańskich; przy ich mdłym świetle ujrzałem parę kamieni i ławę

piasku. Przygotowałem się jak do skoku — po chwili dotknąłem lekko ziemi. Byliśmy na dnie...

Towarzysz mój wydobył z za paska jakiś mały przyrząd w kształcie zegarka i pochylił się do jednego z świecących krzewów.

„Trzy tysiące dwieście metrów pod powierzchnią morza“ — rzekł — „słuchaj, zejdziemy jeszcze niżej, bo tu na gładkim piaszystem dnie niewiele żyje zwierząt. Nie odchodź daleko odemnie; nieznasz tutejszych niebezpieczeństw, to nie wiesz jak się bronić przed nimi; uważaj na moje znaki lecz o ile można nie mów nic i unikaj gwałtownych ruchów. Gdybyś widział, że grozi nam wielkie niebezpieczeństwo, lub gdybym ja zginął nagle, to tylko pociągnij za ten sznur, który masz przy pasie, a natychmiast odpadną ci z nóg złote podeszwy od sandałów; przez to staniesz się lżejszym od wody i polecisz do góry, na powierzchnią morza... No, naprzód!“

Szliśmy powoli przez równinę pokrytą drobniutkim zwirem z białych i czarnych kamyków; gdzieniegdzie sterczały z niej większe kamienie, żółtawe, nagie. Prawie każdy z nich miał na szczycie przyczepiony jakiś krzak, sztywny, jakby zeschnięty. Krótki pieńek takiego krzaka zdawał się zrosłym ze skałą służącą mu za podstawę; gałązki odchodziły od pnia na dwa tylko boki, w równych odstępach i nie rozwidlały się na końcach a tylko stawały się coraz cieńsze. Wyglądały te krzaczki jak żydowskie świeczniki siedmioramienne, płaskie. Na każdej gałązce widać było setki świecących punktów; były to zwierzątka drobne, ułożone gęsto, lecz regularnie na ramionach krzaków; wydawały one światło jasne, zielonawe. Ile razy przechodziliśmy około takiego krzaka świecącego, powstawały za nami długie promienie cienia, gubiące się wśród wody. Za najlżejszem trąceniem cały krzak gasnął natychmiast i sterczał jak czarny szkielet. Ziemia była wokół szara, a kamienie sterczące z świetlanymi krzakami na swych czubach wyglądały jak groby na cmentarzystku w zaduszki...

Woda była naokół czysta i jasna, ale mimo to można było wszystkie przedmioty odróżnić ostro może tylko na jakie sto kroków; dalej zaczynały się ich kontury zacierać, jeszcze dalej były tylko szare sylwetki; wreszcie wszystko zlewało się razem w jasną mgłę wody przepojonej światłością świecących krzaków...

Szliśmy już długą chwilę; grunt powoli się obniżał i stawał się coraz bardziej kamienistym; wreszcie zaczął przechodzić w strome skały. Trzeba było czasami wspinać się lub ostrożnie opuszczać na dół, jak w górach. Krzaki świecące były coraz rzadsze, toteż około nas stawało się coraz ciemniej.

Gdzieś wśród skał dostrzegłem jakieś dziwne kwiaty; na wysokich okrągłych łodygach stały, w górę zwrócone lub zwieszające się na dół kielichy utworzone jakby z pędu puszystych strusich piór. Na jednych kwiatach pęk był otwarty a kiście stanowiące koronę rozchylone; inne, stulone, wyglądały jakby pączki lili. Łodyga wysoka może na metr, była złożona z drobnych odcinków, jak bambus; od każdego odcinka odchodziły długie, falisto pozaginane wąsy, regularnie rozpostarte na boki. Kwiaty były szaro-żółte lub pomarańczowe, łodygi ciemniejsze. — Wokoło nas woda była spokojna i martwa, mimoto puch piór stanowiących kielich ruszał się jakby wśród wiatru; czasami cały kwiat pochylał się, łodyga to się gięła to prostowała. Przyjrawszy się bliżej spostrzegłem, że te kwiaty to były zwierzęta, liliowce. W miarę jak schodziliśmy w dół było ich coraz więcej; rosły w pękach; wreszcie przyszliliśmy na małą polankę zarosłą niemi zupełnie.

Stały gęsto jedne przy drugich, wszystkie mniej więcej równej wysokości; wszystkie kielichy były otwarte, a ramiona ich w ciągłym ruchu, zwijały się i rozwijały jak sploty robaków. Gdzieś wśród liliowców dostrzegłem pięciopromienną gwiazdę morską, świecącą...

Nad całą polanką unosiła się jakby lekka opalizująca mgła,

złożona z tysięcznych świecących punkcików; jej tumany to się zbijały, to rozlewały wśród wody...

Przeszliśmy środkiem polanki wbród przez liliowce zostawując za sobą czarną smugę z połamanych i pokurczonych zwierząt. Tumany mgły świetlanej uciekały przed nami, okrążały nas na boki i za nami znów się łączyły.

Dał mi znak ręką; stanęliśmy przez chwilę bez ruchu. Powoli mgła zaczęła się do nas przybliżać i dostrzegłem, że są to myriady malutkich, płaskich, zupełnie przejrzystych rybek, z oczkami jak dwa punkty świecące. Roje ich przelatywały około nas, kręciły się w ciągłym ruchu i tysięcznych zwrotach. Mnóstwo ich padało na liliowce i ginęło w uścisku puszystych ramion... Jeden nasz ruch a mgła umknęła znów przed nami.

Schodziliśmy coraz niżej, świecące zwierzęta znikwały, musieliśmy zaświecić latarki. Były one ogromnie jasne, tak że mieliśmy przed sobą przestrzeń oświetloną na kilkaset kroków. Znajdowaliśmy się w jakiejś jakby górskiej kotlinie; załomy ogromnych skał pełne były ciemnych jam i zagłębień. Kotliną zdawała się zupełnie pusta. — Mój przewodnik oglądając dokładnie jedną ze skał i wszystkie jej załomy i jamy, poczem postawił na niej latarkę zciemnioną nieco. Ja światło zgasilem i stanęliśmy skryci w cieniu mając przed sobą słabo oświetloną przestrzeń. Powoli wzrok mój przyzwyczaiał się do mroku i zacząłem dokładnie wszystko w okół odróżniać.

Z jamy niedaleko nas wysunęły się najpierw dwa długie wąsy, potem olbrzymie nożyce na jednej z łap a wreszcie powoli wygramolił się niezgrabnie olbrzymi rak. Był to jakiś wielki homar, długi może na dwa łokcie. Miał pancerz stalowo niebieski w wielkie czerwone i czarne plamy. Włókł się nieporadnie między kamieniami, bo jedną szczypcę i dwie nogi miał urwane. Wąsami ruszał na wszystkie strony i wytrzeszczał jedno wielkie jak orzech oko; drugie

było zmiażdżone. Pancierz na szerokim jak łopata ogonie był w kilku miejscach zagięty i skruszony.

Z pod kamieni po drugiej stronie kotliny wyszedł drugi, znacznie mniejszy lecz nie poraniony; poruszał się dość zwinnie. Oba szły blisko nas przeszukując i opatrując kamienie.

Na dany znak nastawiliśmy nasze aparaty do słuchania zwierząt; ozwał się z nich głos dziwny, jakiś trzask rytmiczny, jakby łamanie chrustu:

„Nie chodźmy dalej!“ — mówił większy — „ja się tam boję — tam siedzi stary... (tu usłyszałem jakiś głos, jakby chrupnięcie miażdżonych młotem kości; — zapewne nazwisko lub przekleństwo)... „o! widzisz go pod tamtą skałą“?!“

Spojrzałem na okół i dostrzegłem w dali wysunięte z jamy dwie potworne łapy—szczypce, i dwoje wielkich czarnych oczu.

Raki zawróciły.

„Wczoraj“, — zaczął znów duży — „podszedłem ku niemu; chciałem go wywlec z jamy i zjeść... Szelma! zaplątał mnie między kamienie i ledwie mu uszedłem... Patrz co ze mnie zostało! Zjadł mi łapy — zgniótł oko“ ...

Chwila ciszy.

„No! niech mi tylko odrosną szczypce, dam ja mu!... A jak myślisz, on pewnie ma dobre mięso... taki zdrow...“

Znów milczenie.

„Oj! jak mnie boli!... Wiesz ty? wczoraj nic nie jadłem; dziś pożarłem dwie zielone gąbki... Takie niedobre!... Pewnie jeszcze długo będę je musiał jeść... Już i z głodu osłabłem...“

„„Osłabłeś biedaku?““ zapytał mniejszy.

„Oj jakim słaby!... jakim słaby“ ...

Drgnąłem — ujrzałem, że około raków woda się nagle zakotłowała — wzbił się około nich tuman z mułu. Usłyszałem straszny trzask i chropot... Trwało to krótką chwilę... Muł opadał powoli

i ujrzałem mniejszego raka siedzącego na trupie większego i wyrrywającego mu kawały pancierza, wnętrzności, mięso... Długą chwilę widziałem białe szczęki ruszające się pod pancierzem mordercy i znikające w nich kawałki ofiary; potem powlókł się ociężale i zniknął w swej jamie.

A z załomów i wszystkich szczelin skał natychmiast wysunęły się tłumy drobnych krabów zżęcone resztkami świeżego trupa. Sunęły chmary opancerzonych zwierząt, jak wstrętne robactwo; niektóre sunęły bokiem, inne w podrygach lub skokach na wysokich nogach; zielone i czerwone, szare i żółte; niektóre niosły na grzbiecie barwne gąbki lub kamyki, inne były porośnięte drobnym mchem, były i takie co tkwiły w skorupach ślimaków a tylko nogi i szczypce z nich wystawiały i sunęły ciągnąc swój skradziony domek. Jeśli się dwa z sobą spotkały, to albo uciekały od siebie, albo rozpoczynały bójkę na śmierć i życie; widziałem takie, co w drodze do wstrętnej biesiady mordowały się i zjadały nawzajem. Z aparatu mego słyszałem zmieszany gwar głosów nienawistnych...

Nad głowami wśród wody dostrzegłem jakieś sylwetki; zbliżały się coraz niżej; rozróżniłem stada ryb różnych, zżęconych do kotliny. — Staliśmy bez ruchu; około nas sunęły cicho długie ryby czarne, z ogromną paszczką. Na bokach miały szeregi płam, świecących czerwono.

Kilka razy dostrzegłem jakąś dziwną rybę: krótka, szeroka, o ogromnej srebrnej łusce, miała potworne oczy, osadzone wysoko nad głową, jak dwie lunety. U nasady ocz miała dwa wielkie, jasne reflektory; z nich buchały strumienie światła wprost w górę. Ryba ta mogła patrzeć i oświecała sobie przestrzeń tylko ku górze. Płynęła powoli, nie widziała wcale potwornej biesiady u trupa raka, leżącego tuż pod nią.

Zwróciłem ku niej mój aparat; usłyszałem cichy głos, jak szmer wody sączącej się wśród kamieni:

„Niema jej... niema... a może znów jej nie widzę... ha, potwór przejrzysty... żeby ją choć raz ujrzeć... Oczy za nią wypatrzę, ale ją choć raz dostać muszę...”

Głos brzmiał cicho, jak skarga; widać ryba szukała swego najzacieklejszego wroga.

Nagle dostrzegłem, że do ujścia kotliny zbliża się jakaś wielka masa świecąca. Roje ryb i raków, szarpiące resztki, pierzchły nagle, a ku nam sunął ogromny twór, jakby jakiś bukiet fantastyczny. Od góry była na nim ogromna bania, pełna powietrza, do niej przyczepiony szereg dzwonów przejrzystych, połączonych w wiązkę. Kurczyły się one rytmicznie, raz wraz nabierały wody do wnętrza i wypychały ją potem z taką siłą, że przez to posuwały się naprzód. Pod wiązką dzwonów był pęk jakichś woreczków, kul, palczastych wyrostków i mnóstwo zwieszających się, bardzo długich sznurów, grubych u nasady, a przechodzących w cieniuchne nitki na końcach. Raz wraz sznury się wyciągały w dal, chwytaly jakąś rybkę lub inne żyjątko i niosły drgającą ofiarę ku pękowi woreczków. Było to mnóstwo zwierząt złączonych w kolonię pływającą; jedne z nich chwytaly zdobycz, inne ją łykały i trawiły. Całość była przejrzysta jak woda i świecąca niebieskawym światłem. Stworzenie to zbliżało się ku nam, przed niem pierzchały wszystkie inne; została tylko ryba w górę patrząca. Ujrzałem, że przystanęła chwilę w wodzie, nagłym ruchem schowała się za załom skały, jakby czatując na zdobycz.

Ogrom świecący i przejrzysty zbliżał się powoli ku nam; kiedy już był bardzo blisko, ujrzałem, że ryba z kryjówki wysuwa się i jak piorun zbliża się ku niemu. Lecz w tej samej chwili światło kolonii zgasło i szklane jej kontury wśród przejrzystej wody zniknęły... Z aparatu mego usłyszałem głos ryby: „Niema jej... znów zniknęła...” i ujrzałem nagle, jak ryba zaczęła się szamotać jakby schwytana w sieć, drgała w kurczach, a światło jej oczu gasło coraz więcej — aż zniknęło... Po chwili kolonia zwierząt zajaśniała swym

blaskiem na nowo, a w jej przejrzystym wnętrzu ujrzałem zgniecioną rybę — wroga...

Kotlina opustoszała zupełnie; wśród niej sunął powoli świecący, kryształowy bukiet zwierząt, siejąc blask.

Nagle dostrzegłem jakąś ogromną czarną sylwetę u wejścia do kotliny. Towarzysz mój ścisnął mię za rękę: „Teraz ani drgnij!” szepnął — „trzymaj w pogotowiu sznur od sandałów — cicho!”

Stanęliśmy jak martwi. Ku nam sunął jakiś straszny potwór. Była to czarna, olbrzymia ryba. Długie jej ciało, wyciągnięte w ogromną pletwę, zaczynało się potworną głową. Olbrzymia paszczyka otwierała się co chwila, ukazując szeregi straszliwych zębów, zgiętych ku gardzielowi. Po bokach, tuż przy głowie, stały dwie wielkie pletwy, wyglądające jak skrzydła nietoperza. Potwór był ślepy; pysk gładki, bez oczu, obciągnięty był skórą czarną, oślizgłą; na czole sterczało mnóstwo długich brodawek i wyrostków grubych jak sznurki; wszystkie kurczyły się i wiły wciąż jak kłęb robaków. Były to narządy czuciowe, którymi potwór się kierował. Był to król ciemności podmorskich, ślepy a czuły — najstraszniejszy...

Płynął wprost na nas; staliśmy jak dwa posągi; ujrzałem, że towarzysz mój ścisnął mocniej sznur od sandałów. Ale potwór minął nas; on, ślepy, gonił przejrzystą i niewidzialną kolonię zwierząt, co przed chwilą koło nas przepełnęła. Ujrzałem, że zbliżał się ku niej coraz więcej — aż znikli oboje gdzieś daleko w kotlinie.

Odetchnęliśmy.

A teraz ze szpar w skałach, z pod kamieni, z jam, zaczęły znów wysuwać się roje drobiazgu morskiego, kraby, robaki, gwiazdy morskie; wszystko to sunęło, kłębiąc się, do opuszczonej biesiady, do trupa olbrzymiego raka. Rósł gwar, znów zbliżyło się stado ryb świecących; kotlina zaczęła brzmieć i jaśnieć.

Nagle zauważyłem jakiś ruch wśród ryb; przybyło ich nowe stado;

poznałem wśród nich i takie, co żyć mogą blisko powierzchni wody. Z aparatu mego słyszałem krzyki nowoprzybyłych:

„Dziwne... statek zawsze przecież tylko przejeżdża szybko, a teraz stanął na miejscu...”

„Tam coś się dzieje niezwykłego” — mówiły inne ryby — „statek stanął bez ruchu, a sieci nie zapuszczają...”

Coraz nowe ryby stadami przybywały; w kotlinie zaczęło się roić od nich.

Nagle, wysoko nad głową, spostrzegłem jakiś duży, podłużny, gładki przedmiot, sunący szybko w dół. Roje ryb, jakby stada ptactwa biegły wraz z nim, w szybkich zwrotach okrążając go dookoła. U jednego końca przedmiotu wyróżniłem przywiązaną kulę armatnią. — Przesunął się szybko nad naszymi głowami, potracił i zgasił latarkę, stojącą na skale, i padł u jej stóp...

Tam — na górze, odbył się widać przed chwilą pogrzeb człowieka...

Ciemność; ryby świecące spłoszone głuchym upadkiem ciała, zgasty. Po chwili koło nas zaczyna jaśnieć tu jeden punkt, tam drugi; ryby świecące wracają i okrążają w szerokich kołach spokojnie leżące ciało. Towarzysz mój podnosi latarkę i zaświeca ją; mogę teraz rozróżnić płótno żaglowe i sznury, które obwinęto trupa... Ze wszystkich stron zaczynają się koło niego kupić zwierzęta z kotliny. Chmary ich opuszczają biesiadę przy trupie raka i pełzną ku nam; gwar rośnie. Wyróżniam głosy zdziwienia; kraby zaczynają pełzać po wierzchu ciała. Widzę, że jeden zabiera się do przecinania sznurów nożycami; po chwili pierwszy sznur pęka...

Na całym cielem mrowi się teraz rój wstrętnych istot; wszystkie pracują nad przerwaniem płótna. Przez szparę, w płótnie wyżartą, dostrzegam bladą i chudą rękę...

Już tylko jeden sznur trzyma płótno żaglowe, na cielem obwinęte; siedzą na nim trzy kraby i szarpią włókno po włóknie.

Wreszcie i ten sznur pęka — płótno opada na dół.

Przed nami leży teraz trup cudnej kobiety; twarz blada; zda się, że śpi tylko; usta ledziuchno rozchylone w półuśmiechu; olbrzymie sploty jasnych włosów rozsunęły się po szarych kamieniach...

A wokoło krążą stada ryb czarnych i ryb świecących; słyszę ich podziw...

A trup leży spokojny i taki strasznie blady na szarych kamieniach; nad głową jego świecą dwie gwiazdy morskie...

Chwyciłem mego towarzysza za rękę i ścisnąłem ją kurczowo; serce mi tak biło — jeszcze chwila, a stracę przytomność...

Nagle dostrzegam, że przez złote włosy idzie mały zielony krab; gramoli się niezgrabnie przez pukle — widzę jak jego pazurki chwytają za skórę trupa — dochodzi do czoła — staje — rusza wąsami i zbliża szczypce do oczu trupa...

Krzyknąłem — poczułem tylko, że towarzysz ujął mnie mocno w pól; potem pociągnięcie za sznur od sandałów; uczułem, że mnie coś w górę porywa — zaszumiło mi w uszach i straciłem przytomność...

II

Byliśmy obaj już gotowi do drogi. Wzięliśmy nasze zwykłe ubranie podmerskie, wszystkie przyrządy. Mój towarzysz objaśnił mi, że pójdziemy dzisiaj bardzo daleko, w strony jemu nawet nieznane; być może, że wypadnie nam długo w drodze zabawić. Pod moim tornistrem przyczepił mi zwinięty, duży płat takiej samej aksamitnej materyi, z jakiej były nasze ubrania. Opatrzywszy się nawzajem, czy wszystko szczelnie na nas dolega, zaczęliśmy schodzić w dół schodami, które nas do morza już raz zawiodły. Skorośmy tylko kilka stopni zstąpili, towarzysz mój zaśwycił latarkę. Spostrzegłem, że ten szyb, który przeszedłem już raz zupełnie po ciemku, ma ściany gładkie i pokryte jakimiś napisami. Po chwili schodzenia znaleźliśmy się pod wodą; napisów na ścianach szybu było jednak i tutaj mnóstwo. Towarzysz mój przepatrywał je pilnie; przy blasku jego latarki dostrzegłem głoski łacińskie, greckie i hieroglify egipskie. Im dalej w dół, tem więcej było hieroglifów, pismo łacińskie i greckie zniknęło. Towarzysz mój zatrzymał się przy jednym napisie i zaczął bardzo pilnie opatrywać ścianę. „To tutaj“ rzekł po chwili. W miejscu, które on właśnie oglądał, dostrzegłem jakieś dziwne znaki, zupełnie podobne do runów celtyckich. Koło napisu był małe pierścień z metalu, odstający nieco od ściany. Towarzysz mój pociągnął za niego dość silnie; w tejże chwili kawał ściany otwarł się przed nami jakby drzwi i ujrzałem wejście do jakiegoś bocznego korytarza. Poczułem lekki prąd wody, jakby przeciąg, wiejący w kierunku nowego chodnika. Weszliśmy do niego; był również kuty w skale, gładki i prowadził pochyło ku dołowi. Szliśmy już może z pół godziny, kiedy ujrzałem, że chodnik rozwidła się. Na prawo było ciemne wejście do korytarza, gdzieś daleko prowadzącego; na końcu lewej odnogi widniało jakieś słabutkie światło, zapewne otwór prowadzący ku morzu.

Zbliżyliśmy się do lewej odnogi; usłyszałem w niej mocny szum, jakby fal potoku i równocześnie poczułem tak silny prąd, że musiałem się oprzeć o ścianę, by nie stracić równowagi. Szliśmy tuż koło ścian korytarza; było to jakieś przejście wyżłobione przez wodę; tylko gdzieniegdzie znać było ślady ręki ludzkiej, jakieś odbite lub ogładzone dłutem kamienie lub hieroglify i runy. Prąd był bardzo silny, to też postępowaliśmy bardzo ostrożnie, opierając się i trzymając z całych sił za występki skaliste; nareszcie znaleźliśmy się blisko otworu korytarza. Skryliśmy się w małej framudze, wyżłobionej w skale, gdzie prąd nie tak silnie czuć się dawał; mój towarzysz rozłożył przyniesiony przezemnie płat aksamitnej materyi i przymocował dwa jej rogi do swoich ramion zapomocą pasów; ja to samo uczyniłem z dwoma rogami przeciwległymi. Zapomocą krótkiej liny połączyliśmy ze sobą nasze paski. Wychyliwszy się nieco, podaliśmy prądowi wody płat materyi przymocowanej do ramion, a ona natychmiast wyduła się nad nami jak żagiel. Teraz mój towarzysz odłączył małe rurkę od swego aparatu do wytwarzania powietrza i puścił jego strumień w wyducie materyi, rozpiętej nad nami. Do jej delikatnych włosków przyłgnęło mnóstwo baniek powietrza; przeto stała się ona tak lekka, że zaczęła nas obu w górę pociągać. Wyszliśmy wtedy na środek korytarza, a prąd wody porwał nas natychmiast. Z błyskawiczną szybkością przelecieliśmy przez otwór i znaleźliśmy się wśród zielono-błękitnej wody otwartego morza, pędzeni prądem gdzieś daleko w przestrzeń. Raz wraz towarzysz mój przyciągał ku sobie jeden z rogów materyi, rozpiętej jak żagiel nad nami, i strzepywał z niego trochę baniek powietrza, a wtedy natychmiast zaczynaliśmy opadać powoli. Płynęliśmy wraz z prądem, tak szybko jak i on, więc też prawie nie czuliśmy jego pędu, a tylko czasami migły koło nas sylwetki jakieś ciemne; zdawało mi się, że mogę w nich rozróżnić kontury jakichś wielkich ryb. Prąd, który nas pędził, nie płynął równoległe do powierzchni morza, lecz za-

nurzał się skośnie w jego głębie; to też z początku, kiedy byliśmy zaledwie kilkaset metrów pod wodą, było około nas dość jasno, powoli jednak stawało się coraz ciemniej. Zaświeciliśmy latarki i skierowali ich światło wprost przed siebie. Towarzysz mój raz wraz spoglądał na przyrząd, oznaczający nam głębie wody. Byliśmy już około 2000 metrów pod powierzchnią, kiedy nagle dostrzeżliśmy na przyrządzie, że zaczynamy się raptownie podnosić; widocznie prąd zmienił swój kierunek prosto ku górze. Towarzysz mój chwycił za nasz żagiel wodny i zaczął gwałtownie strząsać z niego powietrze; ja naśladowałem go we wszystkim. I znów po chwili zaczęliśmy powoli opadać w dół, coraz niżej, w coraz ciemniejszą dal głębin. Nagle, przy świetle naszych latarek, dostrzegłem o jakieś sto kroków od nas wynurzające się szare kontury poszarpanych skał, po chwili rozróżniłem ogromne kamienie, leżące pod nami — za parę sekund stanęliśmy pośród rozpadliny skalistej, na zwałach szarych głazów. Szybko odjęliśmy od ramion nasz żagiel; zwinąłem go i przypiąłem do tornistra; odwiązaliśmy też linę, łączącą nasze pasy.

„No“ mówił mój towarzysz, „stąd zaczyna się dopiero nasza wycieczka. Ale też i tutaj kończą się moje wiadomości; w wyprawach moich tylko dotąd doszedłem a dalszej drogi nie znam. To wiem, że jesteśmy teraz na szczycie wysokich gór zanurzonych pod morzem. Teraz jesteśmy 3.600 metrów pod wodą, a do stóp góry wypadnie nam pewnie zejść jeszcze jakie 2 tysiące metrów. Musimy schodzić bardzo powoli, bo kto wie co nas tam czekać może. Nie rozłączajmy się więc! No — naprzód! A nie zapominaj, że masz u boku sztylet mocny i ostry“.

Zaczęliśmy powoli schodzić; przeprawa to była jednak dość ciężka, bo wokół były straszne głazy i urwiska; trzeba było wyszukiwać przejść, nieraz ześlizgiwaliśmy się po skałach prawie pionowych, często dochodziliśmy do krawędzi przepaści lub skał prostych i trzeba

było cofać się w górę by znów później próbować zejścia ku dołowi. Wokół skały były nagie, połamane w olbrzymie bloki; zdawało się, że jakieś tytaniczne siły musiały się na szczytach gór zewrzeć kiedyś w walce na śmierć i życie, i skruszyły i zdeptały wszystko wokół siebie, zasiewając przytem świat masą odłamów skalistych. Widać było miejscami olbrzymie usypiska, jakby łożyska rwących potoków; gdzieindziej znów całe ściany skaliste leżały wywrócone lub zwisały nad przepaściami jak potwory czychające w zasadzce.

Powoli więc tylko zdążaliśmy ku dołowi, wybierając miejsca wygodniejsze do zejścia. Wokoło nas woda była cicha; na skałach nic nie rośło, czasem z pod nóg umknął nam mały krab i schował się w szczelinę między kamieniami; czasem przemknęła jaka rybka — zresztą wokół była pustka i martwota.

Zchodziliśmy właśnie po usypisku złożonym z niewielkich kamieni znajdującem się pod ścianą skalistą, kiedy spostrzegłem jakiś jasny pas przy skałach. Zbliżyliśmy się ku niemu i stanęliśmy ze zdumienia. Bokiem skał szła wykuta w nich dość szeroka droga... Zachodziła ona aż na usypisko, po którym zchodziliśmy i niknęła pod jego kamieniami. Widocznie niegdyś szła całem zboczem górskim, później kamienie urwane ze szczytów część jej zasypały. Po skałach dostaliśmy się aż na drogę. Była ona szeroka na jakie 3 lub 4 metry. Jeden jej bok stanowiła ściana skalista, ścięta zupełnie równo, przy drugim była balustrada z kamienia, zupełnie gładka; sama droga była wyłożona płytami kamiennymi dostosowanymi bardzo szczelnie i tak wygładzonymi, że stanowiły razem jedną równą płaszczyznę gładką jak zwierciadło. Taksamo gładką i lśniącą była balustrada obok drogi. — W szerokich skrętach zniżala się droga lekko ku dołowi; na stromych ścianach zakosy jej stawały się gęstsze; snuła się jak wąż po uboczu gór skalistych. Miejscami była poprzerywana, czasem leżały na niej olbrzymie głazy, zdaje się urwane od szczytu gór. Im dalej ku dołowi, tem lepiej była zachowaną;

szliśmy po niej wygodnie coraz niżej w dolinę górską. Około nas zaczęło się pojawiać trochę więcej istot żyjących. Gdzieś dostrzegłem bukiety liliowców; tu i ówdzie były kępy zwierząt podobnych zupełnie do szerokich liści łopuchu rozpostartych wśród wody; niektóre z nich świeciły. Raz z boku drogi dostrzegłem gdzieś daleko sylwetę wysoką podobną do palmy. Korona wieńcząca jej wysoki pień, była złożoną z ramion rozpostartych równo na boki tak długich prawie jak pień. Był to ukwiał potworny, którego długie ciało, jakby długi szary worek, naśladowało pień palmy, a ramiona jasno seledynowe lub liliowe wiły się około straszliwej gęby zwróconej ku górze. W obrębie przestrzeni oświetlonej naszymi latarkami dostrzegłem sylwety tych zwierząt coraz częściej, na szczęście zawsze dość daleko od naszej drogi. Ilekroć przechodziliśmy koło ukwiału, ramiona jego wyciągały się ku nam, zapewne nęczone światłem. Raz spostrzegłem jakąś rybę świecącą, która nieostrożnie zbliżyła się ku niemu; natychmiast ramiona palmy pochwyciły ją i poniosły ku gębie. Szliśmy drogą spokojnie; przed nami uciekały czasami stadka ryb ciemnych lub świecących. Nagle na skrócie drogi za załomem skały dostrzegłem grupę ogromnych ukwiałów; droga w tym miejscu skręcała się nagle tak, że nie widząc ukwiałów znaleźliśmy się tuż pod nimi. Natychmiast wysunęły się ku nam olbrzymie ślizgie ramiona jak roje potwornych węzów. Uskoczyliśmy machinalnie w tył i skręciliśmy latarki; na lewym ramieniu poczułem dotknięcie jakiegoś okrągłego przedmiotu, który otarł się mocno o moje ubranie. Jednym ruchem wydobyłem sztylet i pchnąłem na oślep; poczułem słaby opór; potem cofnąłem się ku memu towarzyszowi. Długą chwilę staliśmy bez ruchu, czekając aż zwierzęta usuną swe ramiona z ponad drogi. Potem przesunęliśmy się chyłkiem i w zupełnej ciemności tuż pod straszniemi potworami; po kilkudziesięciu krokach zaświeciliśmy znów latarki; ujrzałem zdaleka grupę ukwiałów — u je-

dnego ramiona były skurczone i wiły się jak kłęb robaków; był to ten, którego zraniłem sztyletem...

Droga szła w równych skrętach coraz niżej. Czasami przerzynała się przez środek skał; czasem okrążała jakieś poszarpane turnice, aż wreszcie wyciągnęła się w jedną prostą linię prowadzącą ukosem w głąbię doliny i znikającą przed nami w cieniach wód morskich. Szliśmy nią już dość długo, kiedy ujrzeliśmy nagle wysuwające się przed nami jak widma, olbrzymie ściany skaliste. Droga wiodła wprost do ich stóp i wchodziła w otwór długiego tunelu wykutego w litej skale. Ściany jego były zupełnie proste i gładkie, wysokie na jakie 3 metry, powała również prosta i lśniąca. Po obu stronach wejścia zamiast obramowania odrzwi stały dwa posągi: mężczyzna i kobieta, wykute w skale, i plecami złączone z nią jak karyatydy. Ciała ich nagie, długie i wąskie, głowy dotykały powały u wejścia, ręce równo na boki opuszczone, na biodrach lekkie przepaski. Twarze o rysach spokojnych, oczy wpół przymknięte, usta proste błędził po nich lekki, pół senny, dobry uśmiech — posągi zda się patrzyły w nieskończoność. Nad wejściem były 3 napisy runiczne. Towarzysz mój długo je oglądał, potem przeczytał drżącym głosem:

„Jestem córką — będę matką — mam cierpieć“

„Jestem synem — będę ojcem — mam odczuć wszelkie cierpienie“

„Jesteśmy człowiekiem — żyjemy bo cierpimy“.

Zapusciliśmy się w głąb tunelu — przy blasku naszych latarek lśnił on jak sala zwierciadlana. Przed nami uciekało stadko ryb świecących, ich blask odbijał się w lustrzanych ścianach korytarza jak w kalejdoskopie i zdało się, że sunie przed nami tłum błędnych ogników jakby chmura świecąca. Nareszcie po długiej chwili spostrzegliśmy drugie wejście do tunelu. Było gładkie — bez posągów; po za nim dojrzałem przestrzeń jasno oświetloną. Korytarz kończył

się w pochyłych skałach, których zbocza były pokryte mnóstwem istot świecących. Krzaki świecące tworzyły gęste zarośla i raz wraz to zapalały się, to gasły — zdawało się, że wśród nich raz po raz wybucha jeszcze światło księżyca. Mnóstwo świecących gwiazd zasłaniało ziemię. Co chwila zrywały się z pomiędzy skał wielkie meduzy — przejrzyste jak kryształ, świecące jasno niebiesko; miały one kształt wypukłych tarcz lub dzwonów i sunęły wśród wody falując brzegami swego ciała. Myriady drobniuchnych, niewidzialnych dla oka zwierzątek świecących przepajały światłością całą wodę. Wśród niej droga nasza lśniła swą zwierciadlaną powierzchnią jak srebrny potok.

O kilkadziesiąt kroków za ujściem tunelu był most wiodący przez straszną rozpadlinę skalistą. Zrobiony był z jednego, olbrzymiego, długiego głazu skalistego wygładzonego zupełnie, i opierającego się końcami na obu stromych ścianach przepaści. Poręczy na nim nie było wcale; a tylko po obu jego stronach stały szeregi posągów. Były to postacie w długich powłóczystych szatach wszystkie z przedwiecznym uśmiechem na ustach, wszystkie spokojne i ciche, wszystkie tak bardzo ludzkie...

Most wisiał nad straszną przepaścią; gładkie jej ściany zchodziły tak głęboko, że ginęły nam z oczu i rozplywały się w jasnym świetle bijącym z głębi; widocznie na dnie rozpadliny skalistej był też świat istot świecących. Przeszliśmy przez most i dalej sunęliśmy po gładkiej i równej drodze.

Przechodziliśmy przez równą polankę. Droga była zupełnie pusta, widocznie na jej gładkich kamieniach nie dobrze było zwierzętom osadzać się; zato obok niej po obu stronach rosły całe gaje dużych zwierząt krzaczastych, podobnych do koralu. Ich gałęzie tworzyły gęsty splot, nieraz nakrywały drogę całą, i łączyły się w zbite sklepienie. Korale były ognisto czerwone, jasno żółte lub białe jak śnieg, a na swych gałęziach miały myriady świecących punktów.

Splot różnobarwnych konarów tworzył nad drogą całe altany lub kryte chodniki, jakby w bajecznych ogrodach wschodu. Kiedyśmy zapuszczali się w taką aleję koralową, gasły gałęzie będące tuż nad nami, zapewne podrażnione ruchem wody jaki obaj sprawialiśmy, lecz zapalały się na nowo, skorośmy tylko minęli je o parę kroków. I tak szliśmy sięjąc pomrok około siebie.

Nagle drgnąłem. Spojrzawszy w bok ujrzałem tuż koło drogi ciało ludzkie leżące na ziemi wśród pni koralowych; nieco dalej leżało drugie, trzecie i dziesiąte, całe ich setki... las koralowy rosł wśród nich, jego gałęzie tworzyły małe altany nad każdym ciałem, a one bielily się na ziemi jak płyty śniegu wśród lasu. Byliśmy na cmentarzu — ciała ludzkie to były białe rzeźby kamienne, leżące na gładkich płytach. Mężczyźni i kobiety — w lekkich tylko zasłonach leżeli jakby pograżeni w śnie cichym; na ustach każde miało uśmiech niezmaconego spokoju... śnili wiecznie...

I długo wiodła nas droga wśród cmentarza i wśród lasu koralu. Nareszcie wyszliśmy na wolną przestrzeń. Przed nami wynurzyła się po chwili jakaś duża sylweta. Na tle prześwieconej jasnością wody odrzynały się ostro czarne kontury jakiejś baszty. Ogromna, o prostych ścianach z czarnego, gładkiego kamienia była uwieńczona u góry krążankiem podpartym na zwartym szeregu cienkich kolumn; ponad tem strzelał prosto w górę smukły, ostry dach. W ścianach były otwory okien. Baszta była cała czarna — czerniała się wśród świetlanej wody jak widmo olbrzymie.

Nagle w jednym z okien ujrzałem światło, jasne, zielonawe; potem dostrzegłem jakiś ruch i z pustego otworu wysunęły się najpierw dwa długie oślizgłe ramiona potwornej ośmiornicy, pokryte ssawkami wielkimi jak tarcze, potem wypełznął ich kłęb cały i wreszcie pokazało się wielkie, zielono błyszczące oko. Ramiona zwiślały leniwo przy ścianie baszty, a tylko końce ich kłębiły się w ciągłym ruchu jak węże. Widocznie potwór nas nie dojrzał, bo

po chwili zaczął wciągać ramiona do środka. Przeszliśmy teraz szybko obok baszty; wnet zakryły nas załomy muru przytykającego do wieży.

Przez otwartą bramę weszliśmy teraz w ulice miasta. Było to miasto gotyckie, czy może egipskie, a może kiedyś Celtowie je zbudowali? Nie mogłem sobie zdać z tego sprawy. Ulice były szerokie i proste, a domy w nich nie stały zwartym szeregiem lecz każdy dla siebie stanowił całość i był wązkami przejściami oddzielony od reszty. Dachy na domach były płaskie, okna wielkie kwadratowe umieszczone wysoko nad ziemią. Na ramach okien widniały przepyszne ozdoby kute z kamienia białego lub czarnego; przepyszne koronki kamienne, sploty kwiatów lub węzłów zwoje wyczelowane misternie na głazach, łączyły się z bogatymi fryzami zdobiącymi szczyty domów. W załomach ozdób kamiennych tkwiły pęki zwierząt barwnych lub świetlnych...

I sunęliśmy przez puste ulice zatopionego miasta milcząc; — zdało nam się, że za chwilę musi się wyłonić przed nami gromada mieszkańców — ludzi dziwnych, dawnych świadków tej epoki, co minęła już wtedy, gdy jeszcze nie było historii...

Na końcu długiej i prostej ulicy otwarła się przed nami pusta przestrzeń. Doszliśmy do jakiegoś wielkiego rynku pokrytego gładkimi płytami czarnego kamienia. W mrocznej dali, wśród prześwieconej wody widać było tylko szarą sylwetę jakiejś wielkiej budowli. — Ostrożnie zbliżyliśmy się ku niej — a ona powoli wyłaniała się przed nami coraz jaśniej, aż zoczyliśmy ją w całej wspaniałości. Zdało mi się, że widzę przed sobą ogromną świątynię grecką. Jej czoło dźwigało kilkadziesiąt wysokich białych kolumn ustawionych w dwa rzędy. Po obu bokach szły tesame białe kolumny długim szeregiem; ich szczyty łączył cudny kamienny fryz rzeźbiony w koronkę przejrzystą. Dachy nie było — śnać musiała tu dawniej wiecznie wiosna panować, a może tylko nieba zakrywać nie chciano...

Świątynia stała na kilku stopniach. Pod każdą jej kolumną stał posąg o twarzy cichej i spokojnej — długie ręce miał skrzyżowane na piersiach — usta lekko rozchylone, zda się szeptały wieczną modlitwę...

A pośród lasu kolumn, w środku świątyni był posąg w długiej powłóczyściej szacie, siedzący na odłamie skały. Głowa wsparta na prawej dłoni, lekko schylona ku dołowi — twarz smutna i spokojna — w lewej ręce czaszka ludzka, biała, szczerząca zęby...

Długo staliśmy w świątyni; czasem z pośród kolumn wysunęło się jakieś zwierzę morskie, przesunęło się jak upiór i znikło; raz spadł na nas grad drobnych żyłatek co pokrył ziemię i nas i posągi przejrzystym płaszczem świetlanym, a myśmy stali nieporuszeni, bo nas przykuwała jej piękność i świętość.

Za świątynią był mały plac wolny, a na jego środku wznosiła się jakaś dziwna budowla. Od gładkich płyt, któremi pokrytą była ziemia wznosiła się jakby kopuła osadzona wprost na bruku. Zbudowana z gładkich bloków kamiennych, stanowiła ogromną półkulę ułożoną swą podstawą na ziemi. Obeszliśmy ją dookoła i nie dostrzeżliśmy na niej ani drzwi ani okien. W jednym tylko miejscu był na niej napis runiczny. Towarzysz mój przybliżył się do niego i przeczytał: „Jesteś li człowiekiem? Jesteś u progu tajemnic!“

Pod jedną z liter runicznych był mały guz brązowy, pokryty przejrzystą emalią. Machinalnie pocisnąłem ten guzik, a natychmiast jeden z głazów w kopule zaczął się odsuwać — potem poruszył się drugi i trzeci, a przed nami odsłoniły się ciężkie drzwi spiżowe. Wspólnymi siłami otwarliśmy te podwoje, a przed nami okazała się mała framuga wyłożona jednolitą warstwą brązu; w jej głębi widać było znów nowe drzwi. Podeszliśmy ku nim, ale skorośmy tylko wstąpili we framugę pierwsze drzwi zatrzasnęły się za nami.

Zanim zdołałem zaświecić latarkę poczułem, że ogarnia mię dziwna ociężałość, choć równocześnie miałem wrażenie, że jakiś

świeży powiew powietrza wionął na mnie. Poczułem, że z framugi między dwoma drzwiami, w której byłem zamknięty ustępuje woda, a wchodzi do niej powietrze. Nim zdołałem się zorientować w tem, co się dzieje, framuga opróżniła się z wody zupełnie, a równocześnie otwarły się z trzaskiem drugie drzwi spiżowe. Zaświeciliśmy latarki — byliśmy we wnętrzu kopuły wypełnionej powietrzem — w podmorskim mieszkaniu.

Wokoło nas leżały stosy zwojów podobnych do pergaminowych lub do papyrusów; na ścianach lśniły brązowe hełmy ozdobione rogami wołów lub orlemi skrzydłami; między nimi miecze i włócznie kute misternie z brązu i nabijane złotem.

Na środku okrągłej sali stał duży stół na czterech brązowych lwich łapach podparty, na nim połówki pisma, na jakiejś materyi pisane. Obok stołu stał duży fotel, a w nim siedział odziany w resztki powłóczystej białej szaty, zaschnięty trup człowieka. W prawej ręce trzymał pióro trzciniowe, lewa była oparta o stół. Oczy zapadłe z długimi, czarnymi rzęsami; nos zaschły, chudy i ostry — wargi przyschnięte, skrzywione w wyraz wiecznej tęsknoty i bólu.

Śmierć zesła widać po niego do głębin morza zupełnie niespodzianie — wzięła go od pracy.

Towarzysz mój gorączkowo przeglądał pisma porozrzucane wokoło. Rumieńce wystąpiły mu na twarz, raz wraz pochylał się nad pismami; widziałem, że czyta po kilka wierszy z każdego, a potem odkładał przeglądnięte rękopisy, a nowe rozwijał. Nareszcie zaglądnął do zwoju leżącego na stole przed szkieletem człowieka. Ujrzałem że zbladł i przystąpił do mnie.

„Czy wiesz, co ten rękopism zawiera?“ — mówił — „Patrzaj! ten napis oznacza: „Ostatni dzień“. Słuchaj! Stąd się wszystkiego dowiemy“.

Usiedliśmy wśród stosów rękopismów, a towarzysz mój począł czytać:

„Jakim sposobem zgineliśmy?“

„Wiedzieliśmy o tem od dawna. Każdy z nas kiedy obejmował urząd arcykapłana i króla, dowiadywał się o tajemnicy, o nieszczęściu grożącym miastu naszemu, a jego obowiązkiem było lud o nieszczęściu zawiadamiać i skłaniać do ratunku. Tak było od wieków. Miasto nasze leżało u stóp gór wysokich — po drugiej stronie łańcucha górskiego było morze. Powoli jednak, w ciągu wieków, zaczął się poziom morza podnosić, a ziemia, na której miasto nasze stało, zapadała w głąb. I pewnem było, że po wielu wiekach morze dojdzie do gór szczytu, a one parcia wody nie wytrzymają i pękną i miasto nasze zatonie. Przed wielu wiekami odkrył to jeden z naszych uczonych kapłanów. Powiedzieliśmy to ludowi, a groza powiała na nasz kraj. Wtedy to zbudowano tę wielką kopułę i przeniesiono do niej i skarby nasze i zdobyte wiedzy i poezji naszej. Ale ludu naszego długo pod grozą trzymać nie można. Rokrocznie podczas największego przypływu morza, kiedy fale wznosiły się najwyżej i kiedy najłatwiej nieszczęście przyjdzie mogło, urządzano modły błagalne, a kraj odziewał się w żałobę. Bywało to podczas pierwszej pełni, po wiosennem zrównaniu dnia z nocą. I szły przez noc całą długie pochody czarno odzianych postaci, co w kornych modłach Boga-Naturę błagały o litość. Tak było za przodków naszych przed wiekami. A potem choć niebezpieczeństwo było coraz bliższem, lud coraz bardziej doń się przyzwyczajał, a z żałobnych pochodów zrobiono święto wiosny...“

„I czemuż to stało się za moich dni?! Pomnę tę noc ostatnią, kiedyśmy jeszcze żyli. Księżyc świecił tak jasno, że mury miasta naszego, zda się, same świecić zaczęły; lud cały wyruszył na stoki gór, miasto opustoszało zupełnie. Poprzedniego dnia zwiedziłem gór szczyty. Morze dochodziło tak wysoko, że jego poziom zaledwie o kilka tylko długości ramienia był niższym od naszych przełęczy. Ze szczelin między skałami sączyła się woda słona. Widzia-

łem, że musi już przyjść nieszczęście — mówiłem to — ale lud nie wierzył i żal mu było święta wiosny...

„Wieczorem schroniłem się do kopuły — tej odwiecznej twierdzy, do której woda dojść nie mogła. Otwarłem jeden z gładów w ścianie i widziałem przy pełnym świetle księżyca roje ludu co wiosnę na gór stokach święcili. Jakżeż mi ich żal było!...

„Zapalono ogniska — zdala widniały po górach tysiące punktów świetlnych. A około nich snuły się postaci w tanecznych zwrotach. Ozwało się tysiąc harf i popłynęła nasza, stara melodia, tak miła — melodia ludu i wiosny. Z poza załomów skał, od strony miasta, wysunął się orszak białych, powłóczyście ubranych dziewcząt. Szły parami w takt muzyki harf; ich długi wąż okręcał się między ogniskami, błyszczał wśród skał lub ginął w cieniu gajów świętych na stokach gór. Czasem wszystkie splatały się w jeden wieniec i widziałem ich gibkie ciała wyginające się w wirze tańca i ledwo muskające ziemię; a w takt grało im tysiąc harf naszą starą melodię ludu — melodię wiosny. Czasem harfy milkły, a uszu mych dochodził śpiew:

W promieniach słońca znowu lśni

Młodziuchny liść,

A ziemia kwiaty rodzi znów

Z całunem swym już zniknął z niej

Sen, Śmierci brat...

A ostatnią nutę chór ciągnął długo i zawodził jednym głosem, a harfy chwytaly melodię, a wir dziewcząt wił się znów w tysiącznych zwrotach...

Wiosno, w miesięczną, jasną noc

Uczcimy cię...

A pókiśmy nie spędzi świt

Dziś oczu nam nie zamknie sen

Sen, Śmierci brat...

I znów muzyka harf chwytala śpiew, olbrzymi wąż tysiącznych par wił się znów w tanecznych kręgach...

Przeminie czar wiosennych dni

Przeminie blask,

Z kwiatami legniem znów pod śnieg

I cicho oczy zamknie nam

Sen, Śmierci brat...

I znów lały się dźwięki harfy i znowu tan...

Tak rok po roku budzim się

Ze zimy snu

I mija rok — mrze życia kwiat,

Utuli nas na wieki wnet,

Śmierć — wieczny sen...

„Czasem milkła i muzyka i chóry — a wtedy zdala od gór szczytu dochodził mię straszny, choć przyciszony, szum fal morskich. Przyptyw wzmagal się — czasem widziałem jak po nad gór szczyty wyskakiwało nagle widmo białe, srebrzące się w świetle miesiąca — to fale co z przyptywem przybierały mocy, a rozbite o skały bryzgały w górę...

„Od miasta wysunął się teraz korowód mężczyzn; szli w lekkich zbrojach błyszczących, albo w powłóczyście białych tunikach. Niektórzy nieśli bębny z brzękadłami, inni mieli grzechotki zrobione z mnóstwa małych muszelek uwiązanych na końcach kiści rzemyków przymocowanych do krótkich rączek. Szli z brzękiem i hucznie, a z śpiewem ostrym, twardym a wesołym. Przed nimi uciekał rój dziewcząt, a oni rozbijali się na małe gromadki i gonili je. Na całym stoku pagórków rozbrzmiały pieśni — harfy zabrękały tanem skocznym i wesołym — widziałem, jak łączyły się pary taneczne, wirujące lub sunące rytmicznym ruchem. Zdało mi się, że widzę te młode postacie dziewcząt objęte silną dłonią męską i wi-

rujące to w prawo, to w lewo — ich ciała pochylają się i wyginają — a usteczka rozchylone zdają się mówić „jeszcze — jeszcze...”

„Ach! jak tam było wesoło!...

„Na stoku gór przybywało coraz więcej ognisk — świeciły one jak małe, żółte gwiazdy wśród wszechpotężnych promieni pełni księżyca...

„Aż nagle ujrzałem rzecz straszną. Zdawało mi się, że szczyty gór znikły — po nad nie wystąpiła srebrna linia olbrzymiej fali, która z piorunową chyżością sunęła po stoku gór, gasząc kolejno ogniska...

„...Stało się... machinalnie zamknąłem głązy w mej kopule... po chwili usłyszałem straszny krzyk tłumu — równocześnie ryk fal spienionych — potem głucho ich uderzenie o kopułę — chwila wrzenia — a potem stała się cisza jak w grobie... Wszystko zginęło!

„W parę dni potem odsłoniłem jedno okno z grubej płyty kryształu, co tkwi w kopule... Gór nie widziałem już ni śladu — zginęły w ciemnej mgle wody. Pod oknem mem leżał trup w zbroi — około niego kręciło się stado czarnych, dużych ryb... Z świątyni widziałem tylko sylwety kolumn. Patrzyłem na nie długo, a serce ścisnął mi żal taki, jaki tylko ja znać mogę. Raz wysunął się z pośród świątyni ogromny potwór, wieloramienny, ciągnący trupa jakiejś dziewczyny

„Żyję sam — mym światem wspomnienie życia, wspomnienie miasta i narodu; a naród mój zginął!”

W milczeniu patrzyliśmy na zaschłego trupa ostatniego arcykapłana zaginionego narodu. Siedział spokojny — a usta wykrzywił mu wyraz wiecznej tęsknoty — wiecznego bólu.

:NAPISAŁ MICHAŁ SIEDLECKI:

:PANAJEZUSOWY BUREK:

FRAGMENT Z POWIEŚCI P. T. „CHŁOPI“.

W owy czas szedł se Pan Jezus na odpust do Mstowa — a drogi nie było ino piachy srogie i parzące, bo słońce przypiekało i gorąc był taki, jak kieby przed burzą abo i gradem.

A cienia nikaj, ni zasłony.

Nic — jeno szczere piachy, a piachy.

Pan Jezus szedł z cierpliwością, bo do lasu było jeszcze karwas drogi, ale że już tych świętych nóżków nie czuł z utrudzenia i pić mu się okrutnie chciało, to se raz wraz przysiadł na wzgórkach, chocia tam i barzej przygrzewało, a rosły same ino kozie bródki, abo stały zeschnięte z łośkiego roku, dziewanny.

A wody ani kropli ani cienia nijakiego.

Ale co przysiadł to i nie odzipsnął nawet rzetelnie, bo zaraz Zły, jako ten jastrząb paskudny, co bije z góry w ustałego ptaszka, tak ci on zapowietrzony bił racicami w piach, a tarzał się, a kłębił — że taka kurzawa, taka ćma się podnosiła, co świata widać nie było.

Pan Jezus choć mu piersi zapierało i ledwie się już ruchał, to wstawał i szedł, a uśmiechał się ino z głupiego, bo przeciech wiedział, że zły chciał mu zmylić drogę, coby nie szedł na odpust, na zbawienie grzesznego narodu.

A Pan Jezus szedł... szedł... aż i doszedł do lasu.

Odpoczął se w cieniu niezgorzej, ochłodził wodą i coś niecoś z torby se przegryzł, potem wyłamał niezgorszy kijaszek, przeżegnał się i wlaź w bór.

A bór był stary i gęsty, a błota nieprzebyte, a chrapy i oparzeliska takie, że musi sam zły tam domował, a gąszcze, że i niektóremu ptakowi łącno przemknąć się nie było.

Jeno Pan Jezus wszedł, a tu kiej zły nie zatrząsie borem, kiej nie zacznie wyc, kiej nie zacznie łamać chojarów, a wiatr, jako że

to jego parob piekielny, pomagał w te pędy i rwał suszki, rwał dęby, rwał gałęzie, i huczał, i hurkotał po boru, jako ten głupi.

Ciemność się zrobiła, że chocia oko wykol, a tu szum, a tu trzask, a tu zawierucha... a tu jakieś złe zwierzaki wyskakują, i doszczekują i szczerzą kły, i warczą, i straszą, i świecą ślepiami, i... ino... ino chycić pazurami... ale juści, że nie śmiały, bo jakżeby, Pan ci Jezus to był w swojej świętej osobie.

Ale, że już Panu Jezusowi dość było tego głupiego strachania i że pilno było na odpust, to przeżegnał bór i zarno wszystkie złe i ze swojemi kumami przepadły w oparzeliskach.

Ostał się ino taki dziki pies, bo w ony czas pieski nie były jeszcze z ludźmi razem.

Ten ci to pies ostał i leciał za Panem Jezusem, szczekał to — to docierał do świętych nówek jego, to uderzył zębami za te święte porteczki Panajezusowe; to kapot mu ozdarł... to za torby chycił i sielnie się dobierał do mięsa... ale Pan Jezus, jako że był litościwy i krzywdy nijakiemu stworzeniu zrobićby nie zrobił, to choć go mógł kijaszkiem przetrącić, abo i zasię samem pomysleniem zabić, to ino powiada.

— Naści głupi chleboszek kiejs głodny! i rzucił mu z torby.

Ale pies się rozeźlił i zapamiętał, że nic ino szczerzy kły, a warczy, a ujada, a dociera, że całkiem już psuje Jezusowe porteczki.

— Chlebam ci dał, nie ukrzywdził, a szczekasz po próżnicy i obleczenie mi rwiesz... Głupiś mój piesku... boś pana swojego nie poznał. — Jeszcze ty człowiekowi za to odsłużysz i żyć bez niego nie będziesz. Powiedział Pan Jezus mocno, aż pies siadł na zadzie, potem zawrócił, ogon wcisnął między nogi, zawył i kiej ogłupiały pognął w tyli świat!...

A Pan Jezus przyszli na odpust.

A na odpuscie narodu, jak drzew w boru, abo i tej trawy na łąkach, aże gęsto.

Ino w kościele było pusto prawie — bo w karczmie grali, a przed kościołem jarmark, i pijaństwo, i rozpusta, i obraza Boska, jako i w te czasy bywa.

Wychodzi Pan Jezus po sumie i patrzy, aż tu naród kiej to zboże pod wiatrem, to w tę, to w oną stronę się kolebie... to ucieka, a niektóry z biczem bieży, kto żerdkę z płotu wyciąga, kto po kłonicę sięga... któren znowuj kamienia szuka, a baby w krzyk i na płoty, na wozy, a dzieci w bek i wszystkie krzyczą:

Wściekły pies, wściekły pies!

A pies środkiem ludzi, kieby zagnała rozstapioną ulicą, bieży z wywieszonym ozorem i wprost na Pana Jezusa.

Nie uleknął ci się Pan nasz, nie... Poznał ci, że to ten sam piesek z boru, to ino rozpostarł tę swoją świętą kapotę i powiada do zwierza, co zagnała przysiadł przed nim:

„Pódzi tu Burek! Przepieczniejszyś ty u mnie niżli w boru...”

Okrył go kapotą, ospostarł nad nim ręce i powiada do ludzi:

— Nie zabijajta go ludzie, bo to też stworzenie boskie, a biedne jest, i zgonione, i bezpańskie.

Ale chłopcy jęli krzyczeć, jęli wydziwiać, a mamrotać, a trzaskać kłonicami o ziemię — że to zwierz dziki i wściekły, że im już tyle gąsków i owieczek porwał, że ino szkody czyni, a i człowieka uszanować nie uszanuje ino zaraz kłami, że nikt bez kijaszka z chałupy nie wychodzi, bo bez tego piekielnika przepieczęństwa nijakiego niema, że zabić go trza koniecznie...

I chcieli bez siłę psa z pod Panajezusowej kapoty wziąć a zabić — aż się Pan Jezus ozgniewał i powiada:

— Nie ruchaj! To się psa łajdusy i pijanice boita, a Pana Boga się... nie boita, co?!

Odstąpili, bo mocno rzekł, a Pan Jezus im dalej — że są łajdusy, że przyszli na odpust, a piją ino po karczmach, a Boga

obrażają, a pokuty nie czynią, a są przeklętniki i katy jedne la drugich, a złodzieje, a bezbożniki i kara boska ich nie minie.

Skończył Pan Jezus, wziął kijaszek i chciał odejść...

Ale naród poznał Go i kiej nie rymną przed nim na kolana, i kiej nie bekną wszystkie, i kiej nie zaczną skomleć:

— Ostań z nami Panie! Ostań Panie Jezu Chryste! Ostań!

A to ci wierne będziemy kiej ten pies. Pijanice my, bezbożniki my, złe my ludzie, ale ostań; ukarz, bij, ale ostań... sieroty my opuszczone, ludzie bezpańskie — i tak płakały, tak żebrały, tak całowały go po rękach i po nogach tych świętych, że zmiękło mu serce i ostał z niemi przez parę pacierzów i nauczał, i rozgrzeszał i błogosławił wszystkiemu...

A potem, kiedy już odchodził, to im powiada;

— Krzywdy wam czynił pies — to odtąd wam odśługiwać będzie... I gąsków popilnuje i owieczki zaganiał będzie, i jak się jeden abo drugi schlasz, chudoby twojej i dobra stróżem twoim będzie i przyjacielem.

Ino go szanujta.

I odszedł Pan Jezus we świat tyli... i obejrzy się, a Burek siedzi tam, gdzie go ostawił przódzi...

— Burek, a pódzi ze mną, cóz to, sam głupi ostaniesz!...

I pies poszedł i już szedł wszędy za Panem i taki cichy, taki czujny, taki wierny, kiej parobek najlepszy.

I poszli już wszędzie razem.

I bez bory szły, i bez wody — całym światem.

A że nieraz i głód był, to pies ptaszka jakiegoś wytropił, to gąskę, to baranka przyniósł i tak se społecznie żyli...

A często gęsto kiedy Jezusiczek strudzony spoczywał, to Burek odganiał kłami złych ludzi, abo i zwierza dzikiego i nie dał Pana naszego. nie!...

A kiej przyszedł czas i żydy paskudne i te faryzeje srogie

wiedły Pana na umęczenie... to Burek rzucił się na wszystkie i jął gryźć... i bronić, jak tylko umiała biedota kochana...

A Jezus mu rzekł:

— Sumienie barzej ich gryźć będzie... a ty nie uredzisz...

I kiej Umęczonego powiesili na krzyzie, to Burek siadł i wył... a drugiego dnia, kiej wszystkie ludzie poodchodzili, że już ani Pannienki Najświętszej, ani Apostołów Świętych nie było, to ostał ino Burek, lizał raz wraz te święte, przebite goździami, konające nóżki Panajezusowe i wył, i wył, i wył...

A kiej już trzeci dzień nadszedł... przecknął Pan Jezus... patrzy, a tu nikogo w podłe krzyża, bo wszystkie z wielkiego strachu pouciekały, ino jeden Burek żałośliwie tuli się do jego nogów — to Pan nasz Jezus Chrystus, Przenajświętszy, pojrzał miłośnie na niego w tej godzinie i rzekł ostatnim tchem:

„Pódzi Burek ze mną“.

I piesek w to oczymnienie puścił ostatnią parę i poszedł za Panem.

Amen.

:NAPISAŁ WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

:MSZA KONAJĄCYCH:

Przez całą wieczność błędę już w mroku, gdzie mnie odnaleźć pragnie wieszczka, wybawić mogąca ręka.

Ale się z moją w mrokach napotkać nie może.

Staczam się zwolna, bezdźwięcznie, ku strasznym dolinom; znam każdy ostry cypel głazu, jakbym na nim kiedyś już konał, a nie mogę żadnego ominąć.

Wśród splełanych krużganków, podziemnych kurytarzy, niemych kościołów i fantastycznych wież olbrzymiego klasztoru...

Sam jestem — mnich.

Złote kopuły odbijają się jedna w drugiej, głębokim zielonawym połyskiem.

Przez zmarłe gotyckie witraże zaledwo odróżniam ciemność zewnętrznego świata od mroku mojej celi.

Lampka, jak serce Chrystusa, żarzy się migotnym, krwawym połyskiem. W wazonach kwiaty, zniesione niewidzialną ręką; na pochylonym Tytanie nocy księga magów łańcuchem przykuta do sklepienia; obraz Madonny, schodzącej w jeziora czyścowych mąk i posepne, niedające się rozejrzeć freski ascetycznych pustelników.

Ktoś wszedł do celi obok.

Huczy zawieja — i on jej słucha ze mną, przywierając czoło do szyb.

Pójdę i poznam go.

Może to Emanuel — i wyjdziemy razem w złote pachnące gaje, gdzie wśród czarnych drzew prześwieca ametyst oceanu i niegasnąca łuna zachodu.

Blask sący się przez grube mury — i jakby wiotkie, powłóczyście, srebrne dłonie wirują dokoła głowy mojej, schylonej nad klęcznikiem.

Zaiste, poznałem cię, Ewo odwieczna, po zabawkach — w twojej szkatule księżyc i gwiazdy — czy możesz mi dać więcej mroku?

Przynieś mi ten dar! na cóż mi gwiazdy, które ty już zamknęłaś w swojej szkatule!

A dłonie cofnęły, wkurczyły się w zimne sklepienia.

I słyszę, jak uchylając, okute żelazem drzwi, wychodzi na kurytarz, przemyka się wśród kolumn. Wyszłe, czarne gałęzie uderzają w okna, żelazne skrzydła wichury tłuką się o dach, a szpony gadów ślizgają się po rynnach wieżyc.

Płacz nieutulony wstrząsa kępą samotnych brzoź, jakoby rosa od wiatru strącana.

A idąc dotknąłem czegoś, co oddźwiękło mi głucho, jak skrzynia z ołowiu.

Przez tęczę łez widzę zamyślane widma, — głos mi się tłumi, każde słowo kryje dla mnie okropną opowieść.

Słyszę, coś pełza po kamiennych mozaikach z hukiem i po-brzękiem metalu, jakby ciężko ranny rycerz we zbroi usiłował się dowlec.

A oto cembrowana studnia, wykuta w skale głęboko — aż do jeziora w grotach podziemnych.

Jakieś głuche uderzenia młotów.

A w czarnym leju przepaści widzę dwoje brylantowych oczu, wśród skłębionego gniazda łap świecą dwa rozżarzone kraterzy — chciałem odskoczyć — i nagle uderzyłem się o trumnę, którą wlokłem za sobą — ową długą, dziwacznie rzeźbioną skrzynię na wzrost człowieka — cięży mi — ledwo ją mogę przesunąć — i jęczy tak okropnym spazmem po kamieniach.

Żrenice olbrzymiego owadu wpatrzone we mnie — po za mnie — przenikają mnie — widzą poza sklepieniem gwiazd — za Bogiem — do obłędu.

Zesunąłem ją — waży się jeszcze nad prześwietloną czeluścią —
i nagły świt zaczyna różowić jej przezroczystry barelif.

Chcę powstrzymać!

Ale już lecąc, zakryła mi źrenice potworu.

Odmawiam długie, monotonne jak jęk konających litanie.

W tem trumna plusnęła o powierzchnię wody,

a straszliwa kosmata tarantula, która się cofnęła przed moim
pociskiem, teraz z szatańską szybkością zesuwa się po ścianach pro-
stopadle kutyh w granicie — oświetlając oczyma rozwarły lej, który
wyźłobiła w wodzie trumna —

a wtedy widzę —

wieko odskoczyło — i powstaje z niego Madonna — królowa
piekieł moich i otchłani — i oczyma objawień spogląda ku mnie —
a jakobym wznosił się ku wysokiemu niebu pustyni, wydrążonemu
głębią fioletu, aż do gwiazd — ale się nagle jej oczy spotkały
z okrutnem wejrzeniem tarantuli, która jak rozpostarty łachman leci
rozstawiając łapy niby ośmioro czarnych piór —

i wody się zwały —

skłębiły się

z pluskiem wbijając się w kamienny cylinder studni.

Uciekam —

a przedemną maskary z latarkami toczą się, pełzną, skaczą po
gzemkach i framugach witraży —

Wbiegam do celi, w której ona była — na ścianie struga krwi —
tu rozpostarła swoje ręce — i ślad ów, jak droga mleczna, iskrzy
się —

a gwiazdy te zbieram do kielicha — i napełnia się niemi aż
po brzegi — i rozwieram okutą klamrami księgę — i nagle zaczy-
niają dźwięczeć struny harf — widma podobne węzom w katalepsyi,
wyprężonym na flet czarodzieja —

a niewidzialne dzwonki dzwonią — i dzwony ogromne ze spiżu

napełniają dumną pierś królewskiej katedry — podchwytną szept
modlitwy mojej w huragan tęsknoty i żalu.

Słyszę ten szmer tysięcy modlących się — i hostyę składam na
spragnione usta aniołów —

W spokojnej, złotej głębinie kielicha widzę moją prześwietloną
twarz, a nademną krąg Drogi Mlecznej.

Ostatnią Hostyę umierających przyjmuję do serca mego.

A tajemnicza ręka prowadzi mię, jak ufne ku nieznanym dalom
dziecko — na dłoniach moich czuję nieme pocałunki — to krew
się przesącza ze stygmatów.

Idę wśród gwiazd.

.....

:NAPISAŁ TADEUSZ MICIŃSKI:

PIAST:

Z AKTU TRZECIEGO: — SCENA POSTRZYŻYN.

PIAST *u stołu do gości.*

Pijcież, nie dajcie prośbą się trudzić.

RZEPKA.

Cieszcie się wszyćka! proszę was ładnie
pilnujcie kubka! pijcież bo cas;
Słonko niedługo za las zapadnie
i już za chwilę chłopacek nas
z rącek matczynych w ręce ojcowe
przejdzie, bo dziś mu strzygą już głowę.
Już się kobiety zbierają w sieni;
Parobcy także przysli już poń,
Zeby mi z ręki chłopacka wzieni,
pieśń zaśpiewali, postrzygli skroń.

PIAST.

Dobrze ty mówis, — pijcie na zdrowie
chłopacka mego. Obrzędy święte
prędko się zacną, bo wiecór już.

KMIEĆ.

Mości Władko! bracia Kmieciowie!
kiej po staremu chłopaka wróz
strzydź dzisiaj będzie, — kiej będą klęte
niecyste siły! to ulać trzeba
świeżego miodu, Bogom, co z nieba
z wody i ziemi przylecą tu!

WŁADYKA.

Pijmy na zdrowie! Daj dzban co tchu!

CHÓR.

Śpiew kobiet za sceną w chatupie.

Da trzeba by tu trzeba

Matusi zawołać,

Jezeli pozwoli, jezeli pozwoli

Synacka postrzygać.

RZEPKA.

Juz mu śpiewają, — juz trzeba iść.

KMIOTKA.

Pierwsza mu włosów utnicie kiść,

matka niech dziecko w chłopca przemieni.

RZEPKA.

Juz mi od serca chłopacka wzieni.

PIAST.

Więc pijcie! raczcie się moi mili.

KMIOTKA.

Trza dolać gościom, zeby wypili,

zeby wesoło się postrzyżyny

odbyły! zeby z tego chłopcyny

wyrósł parobek swarny, wesoły!

Postawcie ławkę wedle stodoły

już wiedą chłopca! kas te nozyce?

*Ze drzwi chatupy wychodzi orszak kobiet, kmieci i parobków;
wiodą Ziemowita; za niemi muzyka wiejska. Pod drzewem przed
stodołami sadzają Ziemowita na ławce. Muzyka ustawia się przy
drzwiach stodoły. Koło chłopca tłumno przez cały ciąg postrzyżyn.
Wchodzi baba niosąca świeczki i tygielek z dymiącym węglem.
Orszak wchodzi ze śpiewem i muzyką. — Ściemnia się.*

CHÓR.

Da trzeba, by tu trzeba

Tatusia zawołać,

Jezeli pozwoli, jezeli pozwoli
Synacka postrzygać.

BABA *do Wróża*

Przyniosłam smolne siepki i świece dla bab.

RZEPKA *do Ziemowita.*

Chodze — tutaj se siednij!

Siada sama na ławie i bierze chłopca między kolana.

BABA.

Ino chłopacku przytem nie zblednij,
bobyś juz zawse był taki biały jak trup.

KMIEĆ.

Dy, byście głupstw nie bajały baby!

WRÓŻ.

Hejże kmiotki gospodarze
Stajcie! bo, jak zwyczaj każe,
mamy chłopcu głowę strzydz.

RZEPKA DO CHŁOPCA.

Ty się dziecko nie bój nic.

ZIEMOWIT.

Ja się ta nie boję dziadów.

PIAST.

Dobrze! tchórza w nim ni śladów.

WRÓŻ.

Hejże matko! hej rodzice,
bierzcie, bierzcie za nożycel!
Tnijcie chłopcu! tnijcie włos,
raz i dwa! tnijcie w skos,
po nad czoło! ponad skroń;

stare Bogi stąpią doń. —
Dajcie ognia (*sypie bursztyn na tygielek*).

BABA.

Niech tu woń
kadzidla się dziś rozleje.

WRÓŻ.

Tleje bursztyn, tleje! tleje!
prec ucieka carny cart!

BABA.

Klnijcie carta! klęcia wart
Urok zły; — chytry wąż!

WRÓŻ.

Kadzidło się dymi wciąż.

BABA.

Dobry znak, dobry znak.

WRÓŻ.

Biały go ulubi ptak!

BABA.

Dobry znak — dobry znak.

WRÓŻ.

Pocnij matko, pocnij ciąć.

BABA *do Rzepki.*

A nie dajze włosów wziąć
Cysto włosy w koło zmieć,
będzie śniego dobry kmieć.

WRÓŻ.

Pocnij ciąć, pocnij ciąć.

BABA.

A nie dajże włosów wziąć
w jasny ogień włosy wrzuc,
będzie miał do dziewczek chuć.

CHÓR KOBIET.

Juześ parobceek,
Juz ci strzygą głowę,
Powiedzies ty w pługu
Konisie ojcowe.

WRÓŻ.

Poczynajcie ojcie ciąc,
my zły urok będziem kląc.
Kręc się dymie, kręc się, mąc;
czarny dymie! kręc się, kręc.

BABA.

Carny dymie słuchaj klęc.

PIAST.

Dajciez, dajciez te nozyce,
niech mu utnę babskie ice.

CHÓR PAROBKÓW.

Juz się ty nie będzies
U matusi bawić,
Z tatusiem pojedzies
Siwe konie pławić.

BABA.

Teraz matusiu strzydz pocynajcie
a wy tatusiu dospomagajcie.

RZEPKA.

Matka ci synku postrzyze włos

ZIEMOWIT.

A tnijciez! nie chcę długockich kos.

PIAST.

Niechze i ociec postrzyze syna.

BABA.

Tnijcie, juz chłopcu przysła godzina;
A jego włosów zabrać nie dajcie,
na szczęście chłopcu włosy schowajcie.

CHÓR PAROBKÓW.

Spadną ci juz, spadną
Te dziecinne włosy;
Imaj ze się pługa
Imaj ze się kosy.

CHÓR KOBIET.

Juz ci długie włosy
Spadają, spadają;
Juz ci parobecki
Śpiewają, śpiewają!

RZEPKA *do Baby.*

Cóż to trza zrobić z temi włosami.

BABA.

Trzeba je schować! potem nocami
trza, by je dziewczki w ogniu spalały,
to będą baby chłopca kochały.

Pod stodołami muzyka gra; koło chłopca zbity tłum; za stodołami kręcą się tańczące pod drzewem pary. Z tłumy wychodzą: dworzanin, mieszczanin, kmięć.

MIESZCZANIN.

Już to zwyczaj
w Polsce są dzikie.

PIAST.
Co waszmość baje?

MIESZCZANIN.
Tak, bo ta wiara stara i podła
pogańska zginie, a nowe godła
będą nam świecić! stare zaginą
z woli książęcej!

PIAST.
Choć tu zasłyną
szwabskie obrzędy, choć nowym chramy
bogom postawim! Zwyku nie damy
tępić starego!

ZIEMIANIN.
Wiwat zwyczaj stary!

KMIEĆ.
Dobrze mówicie! nie chcemy wiary nowej!

ZIEMIANIN.
Nowego nie chcem zwyczaju!

KMIEĆ.
Będziemy zawdy w święconym gaju
czcić Bogi stare! Niemcom tu wara!

PIAST.
I księciu nawet nie! za samemu
zwyku nam rusać!

CHÓR PAROBKÓW.
Będzie ci się chwiało
Piórecko za uchem;
Będzies Niemców bijał
Lachowskim obuchem.

PIAST *podając dzban z miodem:*

Piosenka stara!

Przepijcie!

WŁADYKA.

Miodem sercu laszemu
ta pieśń! bo lata nam przypomina,
kiedy nam włosy tak postrzygano.

PIAST.

Hej tak!...

ZIEMIANIN.

Już może zgiąć nam kolano,
przyjdzie przed nowem prawem! Ustąpić!
Popiel krwi ludzkiej nie będzie skąpić
dla nowej wiary. Może przyjmie
niemiecką mądrość!

WŁADYKA.

Lecz dziś pijemy
za zdrowie stare! Bogom na cześć!
Jeszcze im dzisiaj na świętym tynie
ja sam z kmieciami poniosę jeść,
miodu uleję! Choćbym w godzinie
łeb miał położyć. Lepiej nam zcześć,
lepiej nam głowę pod topór nieść.
Lepiej niemieckim uwierzyć wróżom,
że gdzieś tam smolną czarci kałużą
poić nas będą! Lepiej nam mrzeć
w starym zwyczaju i pogrzeb mieć
jako praojce... na stosie płonąć
a nie doczekać!

ZIEMIANIN.

Kniaź zemstą zionąc
będzie gdy pojmie, że Władykowie
z kmięciami stare bożyszczą czczą

PIAST.

Hej! zemsta jeszcze księciu na głowie
zaważy! jeszcze kmięcie tu są!

CHÓR PAROBKÓW.

Książęta panowie
będziecie panami,
ale nie będziecie
przewodzić nad nami!

WŁADYKA.

Dajcie miodu! ja piję! bo mi krew się już pali
kiedy słyszę tę pieśń staroświecką.
Może cię już piosneczko nie będziemy śpiewali,
będziem śpiewać piosenkę niemiecką.

PIAST.

Co ty bluźnisz? czyś chory?
czy w stolicy kniaziowej
krew ci piją niemieckie hajduki?
Takeś zesłabł? My w bory
ni do ziemi Lechowej
nie wpuścimy niemieckiej nauki.
My obyczaj nasz dawny,
mowę naszą tę lacką
kmięcą piersią junacką
zasłonimy od szwabskich najazdów!
Patrz! silne mamy dłonie. —

Zwołamy stare wieszczce,
niechaj pieśnią nas jeszcze
zagrzewają, aż trzew nam zapłonie,
aż mur stanie z piersi lackich gazdów.
Ty się nie bój! W nas siła i odwaga nie zczeszła,
ni rozumu skąpili nam bogi!
A jak porwą się kmięcie, jak zabiela się giezła
po wsiach. Niemcom nie będzie tu drogi.
A choć wyście tam umni,
choć w gopłowej wieżycy
z księciem mądrze radzicie za stołem
choć Władyki wy dumni,
wy niemieckiej prawicy
nie zdzierżycie! Bo oni was kołem
otoczą, jak obręczą ukutą z żelaztwa!
Obcą mową was uczyć,
obcem jadłem was tuczyć
będą poić trucizną! Pastwa
wy im będziecie,
jeśli piersi was kmięcie,
kmięcie dłonie nie wyrwą z obręczy.
Jeśli obuch nasz kmięcy
nie potrzaska im miecy,
na niemieckiej zbroi nie zabrzączy.

CHÓR PAROBKÓW.

Może wy tu Niemcy
Będziecie panami,
Ale nie będziecie
Przewodzić nad nami.

WŁADYKA.

Piaście chłopie, tyś olbrzym! Niech was stanie tysiące,
ani cesarz niemiecki, ni Popiela książęce
nie zdierzą wam szeregi.

CHÓR PAROBKÓW.

Ale nie będziecie
Przewodzić nad nami.

PIAST.

Słysz lacki śpiew
My chłopie, w ziemię wrosli, jak drzew
starych korzenie!

WŁADYKA.

Czem ty mnie poisz?
Ty mi lek dajesz cudny! rany moje ty goisz.
Gdy stanę między wami,
bije serce, krew płonie
i słabemi rękami
wasze silne ja dłonie,
chwytam i płacz mi ściska
gardło i dusza rośnie,
gdy w wasze uroczyska
wejdę, to w życia wiośnie
być się widzę — i wierzę,
że nad życie kochany
przez was strząśnie kraj lacki
szwabskiej myśli kajdany!
Żyj nam Piaście! żyj Piaście!!

:NAPISAŁ WŁODZIMIERZ TETMAJER:

.....
I widziałem cię, wietrze, jakieś przez cmentarze
Leciał i szumił grobom bez nazwisk, pamięci;
Wiem, że się podźwigały do cię z grobów twarze,
Których nikt już modlitwą, myślą nie uświęci,
Świadome zapomnienia, w które Czas je wgluszył.
Uśmiechają się do cię, żeś tę ziemię ruszył,
Gdzie one leżą wieki. Ty jeden na ziemi
Znałeś je. Już się lasy zwały na lasy,
Rzeki poszły inaczej, góry w głąb się zsiadły:
Ty jeden szumisz tony wieczyście jednemi...
Słuchają cię — i dawne wspominają czasy
Spostrzegając, że słońce żółkło, gwiazdy zbladły

.....
:NAPISAŁ KAZIMIERZ TETMAJER:

:WIELKI DZWON:

Było miasto, gdzie spały wszystkie ludzkie duchy —
I jak martwe błdziły przez błoto uliczne,
Bowiem jakieś im Moce ślepe a magiczne
Pozostawiły życia pozorne odruchy, —
Lż zdały się jak żywe. Nie odgadłbyś może —
Patrząc, że tu w omanach jesteś i w pozorze.

I same owe duchy, w ułud swych ułudzie, —
Wierzyły, że czuwają, że są silne, zdrowe —
I wiodły życie rojne, wrzaskliwe, godowe. —
I w nieustannym ruchu, w nieprzerwanym trudzie
Kuli metal, len przędli, gromadzili złoto —
I gdzieś — dokądś — spieszyli przez uliczne błoto....

Kłócili się, kochali, śmiali się, płakali — —
I każdą chwilę życia chowali w pamięci,
Przecież od błękitowych sfer byli odcięci
Murem — kto wie? z eteru — ze szkła — czy ze stali....
Czasem ich dochodziła jakaś pieśń z tej sfery,
Ale ją zagłuszały wrzawne życia szmery.

Ciężki był ów sen życia. A dymy fabryczne,
Wrzawa rynków, brzęk złota i świetlane sale,
Gdzie tryskał im zdrój uciech w aromatów szale —
Opętały ich istność. Zaś były nieliczne
Dusze: — napoły czujne — jakby na strażnicy
Stojący — zapatrzeni w niebo Czatownicy.

Ci mieli czasem wieści z niewidzialnej łąki
Niebios. I każdy mówił: zbudzę tych uśpionych —
Z niedosłyszanych znaków, z słów niedomówionych,
Snując swą myśl... I różne łać poczęli dzwonki
I dzwonili uśpionym... Lecz w powietrza fali
Brzęczały jakieś nikłe szepty..., Ludzie spali.

A stary dzwon ogromny, co tam był na wieży,
Oddawna pękł — i usnął jego duch mosiężny —
I oniemiał spiż jego gromki, niebosiężny,
A serce jego w piasku powalone leży:
Słyszac zaś małych dzwonek tony, ludzkie duchy
Roity, że to brzęczą pszczoły albo muchy.

I nie obudził duchów żaden dzwon maleńki.
Mają moc duchy czujne pośród czujnych duchów;
Słabną, gdy wokół wszystko śpi na łożu z puchów:
Dzwon, co wyszedł z omdlałej czatownika ręki,
Nie zabrzmiał ogromnemi, co świat budzą ryki — —
Dźwięczy tonem skrzydlatych owadów muzyki...

A był jeden pustelnik, któremu jak kierz,
Boży się palił w sercu ogień... Czuwał on,
Jako śpią duchy w mieście i jak dzwonki dzwonią —
I wyższą jakąś siebie kołysał harmonią,
Bo poznał, że jeżeli ducha budzić chcesz,
Rzuciwszy małe dzwonki, — uderz w wielki dzwon!

On, czatownik samotny — w głuchej swej pustelni —
Śród wielkiej tajemnicy długie, smutne lata
Łał wielki dzwon — wszystkie jęki tego świata
Włał mu w spiż, — jako czynić zwykli Nieśmiertelni.

I raz, gdy niebo nowem zajaśniało słońcem,
Uderzył nagle w dzwon swój ponad miastem śpiącym.

Zatrzęsło się powietrze, gdy rozkołysany
Zahuczał dookoła pełny ducha spiż,
Wołając: Zbudź się, zbudź się miasto, które śpisz!
Zasię w sercach zaszumiał wicher niespodziany,
Bo czuli, że w nich bóstwo schodzi z Niebios dali
I pojęli, że dotąd nie żyli, lecz spali.

Przebudziło się miasto... A na szczytach wież
Zamilkły małe dzwonki... W głębi ludzkich łon
Drgnęła krew — i szeroko oczy się rozwarły —
I wstał rozradowany cały lud umarły, — —
Bo poznał, że jeżeli ducha budzić chcesz,
Rzuciwszy małe dzwonki — uderz w wielki dzwon.

:NAPISAŁ ANTONI LANGE:

W dzień napotykam same widma chwiejne
I nie rozumiem, czemu się szamocą,
Bo krótkotrwałe są i beznadziejne.

Ale oglądam trwalsze kształty nocą,
Gdy na powieki padną mroki czarne,
Kształty odmienne prawdą, życiem, mocą.

Co zdołam świata ogarnąć, ogarnę,
Gdy w półśnie razem wspominam i marzę
A o zjawiska chwili nie dbam marne.

We śnie dopiero widzę żywe twarze,
We śnie za kształty nie ginące chwytam —
Więc widma dzienne za nic sobie ważę.

Żyję z kształtami, które co noc witam,
A choć, jak gwiazdy, bledną mi o świcie,
Wracają mi z gwiazd biegiem. I wciąż pytam,

Czem jest mój własny świat: czy sen czy życie?

:NAPISAŁ KONSTANTY MICHAŁ GÓRSKI:

:Z ILIADY HOMERA PIEŚNI XXIV:

I koło się rozprzegło, a na chyże nawy
Lud począł się rozchodzić do wieczornej stawy
I na słodkie wywczasy. Achil w onej porze
Płakał wspomniawszy druha. Ani go nie może
Ogarnąć Sen wszechwładny, który wszystko zмага;
Z boku na bok się rzucał, a hart i odwaga
Patroklowa — w pamięci stały mu przytomne
I społem przewalczone potrzeby ogromne,
Niepogody przetrwane na fali mórz gniewnej —
Co gdy wspominał, płacz go wciąż zalewał rzewny.
Kładł się na boki, na wznak i twarzą do łoża,
Aż zerwał się i wstawszy chodził brzegiem morza,
Patrzył, jako Jutrzenka ponad morskie tonie
I nad wybrzeża wstaje; Zaczem ręce konie
Do wozu duchem zaprzął i uwiązał w tyle
Hektora, by go włóczył za wasągiem w pyle.
A kiedy go utarzał trzechkrotnym obrotem
W koło grobu Patrokla — usiadł pod namiotem,
Onego zaś poniechał, ku ziemi obliczem
W prochu porzuconego. A wszelako w niczem
Obrazy nie dopuścił Apollo na ciało,
By i na skórze najmniej szwanku nie doznało.
Który dla bohatera litością ruszone
Serce mając, trupowi jeszcze dał ochronę
Z Egidy swojej złotej, iż nietknięte prawie
Zostało, aczci tamten włóczył je w kurzawie.
— Kiedy tak nad boskiego Hektora zewłokiem
Pastwił się rozjuszony — żałośliwym okiem

Pozierali z wysoka szczęśliwi bogowie:
Bystrowidz Argobójca po zgodnej umowie
Miał być posłan, by wykradł ciało bohatera,
Ale biało-ramienna oparła się Hera
I Posejdon i Dziewka Zeusa złotobrewa,
Bo je obiedwie dawna zajadłość rozgrzewa
Na zatrąę świętego Ilińskiego grodu
I Priama i ludu. A to dla powodu
Aleksandra, co lekce sobie ważył ongi
Dwie boginie, gdy przyszły ku niemu do stragi,
A tę poczył, co chuć w nim nieszczęsną zażęgła.
— Gdy dwunasta jutrzienka na niebo wybiegła
Tak się do Nieśmiertelnych Apollon ozowie:
— „Straszni a bezlitośni jesteście bogowie!
Zali wam Hektor skąpo wołowe kawalce
I koźle uda palił? A gdy ubit w walce,
Ochronić go nie chcecie! Niechby mu się żona
Napatrzyła i synek i macierz rodzona
I rodzic Priam z ludem. Ci zasię bez zwłoki
Spaliliby i godnie pogrzebliby zwłoki;
Lecz wy bogowie, zawždy pomagac gotowi
Onemu z nieczłowieczą duszą Achillowi,
Który snac nie ma w piersiach nijakiego serca!
Jako ten lew, patrzący drapieży krwiożerca,
Co dufny w moc i gnany zuchwalstwem, na stada
Rzuca się i tak ludziom żywność ich wykrada:
Tak Achil zbył litości a wstydu; choć szkodzi
Ludziom wstyd zły — lecz dobry na dobre wychodzi;
Toć inszym żałośniejsza przydarza się strata,
Kto syna, kto postrada rodzzonego brata,
Wypłacze się, wyżali, zaczem i ustaje,

Cierpliwy bowiem umysł Dola człeku daje.
Ten nie dość — Hektorowi że wziął żywot miły,
Jeszcze go końmi włóczy dokoła mogiły
Druha. Zaliż to godnie? Zali to przystoi?
Mężny-ć on, ale pomsty niech się naszej boi
Za ten proch martwy, ręką jego zbezczeszczoney!
Rzekła mu gniewnie Hera z białemi ramiony:
— „Co, Srebrnołuki!? Tego jeszczeby nie stało,
By Hektor Achillowi miał się równać chwałą;
Wszak piersi ssał kobiece, śmiertelnik był rodem,
Kiedy Achilles owszem bogini jest płodem.
Tę wychowawszy dałam Pelejowi w stadło,
Bo k'niemu serce niebian łaskawie przypadło.
Nie byliście wszyscy na ślubnej biesiedzie?
Tyś przecie też godował i z lutnią na przedzie
Sam stałeś, fałszniku kłamny w każdym słowie!
Na to jej Zeus pochmurny w te słowa odpowie:
— „Nie bądź, Hero, do swaru z bogami tak skora!
Im obu cześć nie równa; wszelako Hektora
Umiłowali bogi nad inne ziemiany
W Ilonie. Mnie bo nigdy objaty wybranej
Nie chybił, ni przy uczcie ofiarnej — ołtarzy
Niepokropionych winem i bez wonnej skwarzy
Nie zostawił, część zawsze dając mi osobną.
Lecz zwłok porywać niecham, boć i niepodobno,
By Achilles nie postrzegł, skoro ku pomocy
Wciąż matka za nim stoi we dnie jak i w nocy.
Raczej niech które z niebian bieży wezwać ku mnie
Tetydę, ja zaś do niej przemówię rozumnie;
Że Achill przyjmie okup — to sprawi Tetyda,

I że ciało Hektora Priamowi wyda“...
Rzekł. — Iris Wichronoga z wieścią mknęła w pędzie;
Między Samos a Imbry urwiste krawędzie
Ciska się w mroczne morze, aż nurt zawrzał siny:
Tak ołowiana kula zapada w głębiny,
Wprawiona w kawał rogu wolego przy wędce,
Która żarłocznym rybom śmierć przynosi w prędcie.
I zastała Tetydę w sklepistej jaskini,
Wodnice tam siedziały w okół — a bogini
Płakała na los syna wielkiego niechybny,
Że zginie od ojczyzny zdala, w Troi skibnej.
A szybkoconoga Iris, zbliżywszy się, gada:
— „Pójdź Tetydo, Zeus woła, co niezłomnie włada!“.
Zaczem odpowiadając, ozwała się do niej
Tetis, co srebrną nogą mknie po słonej toni:
— „Przecz mnie bóg ten ogromny wzywa? Mnie nieraźnie
Między nieśmiertelników pójść, gdy w duszy kaźnie
Cierpię niewymówione. Alem iść gotowa,
By nie były daremne — które wyrzekł — słowa“.
To rzekłszy, giezło na się żałobne przywdziewa;
Czarniejsza być nie mogła żadna przyodziewa.
Jęła iść — wichrostopa Iris szła w przewody,
Rozstępowały się im z przed nóg morskie wody,
Aż do brzegu dotarły. Zaczem w niebo idą,
Kędy przed wszechwidzącym stawają Kronidą.
Wokół szczęśliwych niebian siedziała gromada,
Ona zaś wedle Zuesa-Rodzica zasiada,
Atene ustąpiła jej swego siedziska,
Hera do rąk jej piękny złoty puhar wciska
I do picia zachęca w mowie najuczciwszej;

Tetis jej zasię puhar oddała, wypiwszy.
Zaczem się Rodzic bogów i ludzi odzywa:
— „Przyszłaś na Olimp, chocia srodze frasobliwa
I choć na sercu tobie ciężka leży troska;
Sam ci ja to uznawam, o Tetydo boska.
Atoli powiem, przecz cię zawezwałem właśnie:
Oto dni dziewięć wrą już pośród niebian waśnie
O Achilla zdobywcę grodów i o zwłoki
Hektorowe. I miał być posłan bystrooki
Argobójca, by wykradł — z wolą bogów — ciało,
Ale ja chcę, by Achil sam je wydał z chwałą,
Bo dla cię poważanie i chęć nam życzliwą.
Ty przeto do obozu pospieszaj co żywo,
Mów synowi, że bogi gniewne, a najgorzej
Z wszystkich ja sam, gdyż sercem okrutnem się sroży:
Podle naw krzywodziobych trupa ma w niewoli,
A wydać go nie myśli. Może też mnie gwoli
Wyda go przecie... Ja zaś poselstwo Irydzie
Zlece, niech do Priama wspaniałego idzie,
By za miłego syna pomiędzy okręty
Poniósł okup i dary, które jad zawzięty
W sercu Achillesowem ułagodzić mogą!“
Rzekł. — Tetis, co po morzu srebrną chadza nogą,
Nie przeciwiała mu się. Z Olimpu wysoczy
Zstępowała i w namiot syna swego kroczy.
Nalazła jęczącego w głos; druhowie mili
Krzążając się skwapliwie, wraz dlań gotowili
Śniadanie: był w namiocie skop, kudłacz nielada,
Sprawiony. Więc się macierz dostajna przysiada
I do syna się ozwie, a dłonią go pieści:
— „I pokiż, dziecię moje, z żalu i boleści

Będziesz się tak żarł w sercu, niepomnąc na jadło,
Ni łożę, toć z niewiastą miećby ci wypadło
Spótek w miłości. Życ już niedługo ci dano:
Śmierć tuż za tobą stoi z Dolą niezblaganą!
Lecz ucha nakłoń pilno, boć niesę posłanie
Od Zeusa. Oznajmuje ci on, że niebianie
Gniewni na cię, ze wszystkich on zasię najgorzej,
Za to, że się twe serce nad Hektorem sroży;
Podle naw krzywodziobych trupa masz w niewoli
A wydać go nie myślisz. Wydać go, a gwoli
Zewłok zmarłego w zamian weźmiesz okup drogi!“
Odrzekł jej na to, mówiąc Achil wchronogi:
— „Zgoda; kto złoży okup, niech zabierze zwłoki,
Jeśli takie są Zeusa niezmiennie wyroki!“
Tak tedy u korabiów, co w przystani leżą,
Długo lotnemi słowy gadał syn z macierzą.
A Zeus na święty Ilion pchnął Irydę w posty:
— „Pędem leć, chyża Iri — a Olimp wyniosły
Rzuciwszy, wspaniałego Priama zawiadom
W Ilionie, by się zebrał posłuszny mym radom
I za miłego syna pomiędzy okręty
Poniósł okup i dary, które jad zawzięty
W sercu Achillesowem ułagodzić mogą.
Sam niechaj idzie, z Trojan nie biorąc nikogo;
Woźny który, co starszy, niech z nim jedzie społy,
Iżby muły kierował i wóz pięknokoły
I poległego nazad do miasta odstawił,
Którego boski Achil żywota pozbawił.
Niech mu śmierć, ni przygoda serca nie przenika,
Argobójcę mu bowiem dam za przewodnika,
A ten go przeprowadzi, wzięwszy pod swą wodzę

I przed Achillem stawi. A niech Priam w trwodze
Nie będzie, u Achilla stanąwszy w namiocie:
On sam go nie tknie, drugich precz odeń odmiecie,
Boć rozwaga, baczenie i ludzkość w nim żywie,
Błagającego przeto przyjmie on uczciwie.“

.....

.....

:PRZEKŁADANIA LUCYANA RYDLA:

Duch, który własnym ogniem swoim świeci,
Nigdy nie legnie martwy u stóp Klęski;
Nad walk otchłanie wzniesie się zwycięski
I drogę jasnym Tryumfem rozkwieci.

Błogosławiony, najszczęśliwszy, mocny
Krew i łzy w róże pachnące zamieni,
Aż się płomieniem złotym oczerwieni,
Niby w dojrzałe lato sad owocny;

Aż będzie sadem cienistym i źródłem,
Kędy przychodzą stada rozżęsknione
Dusz pić melodye w zorzach ozłoczone
I w upojeniu rzeźwić się przed Bojem.

:NAPISAŁ WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI:

Śnie wieczny, Śnie wieczny...
Na pograniczu cichego lasu i łąk od wilgoci,
łąk od wielkiego bogactwa traw pachnących, śnie wieczny
Dobrotliwy spoczynku kości znużonych!
W świętej ciszy nocnej pod rosą niebieską,
pod słońcem palącym
aż do zgnicia wszystkiego, co truchleje,
pod ulewnymi deszczami,
które, długo pracując, obmyją, co się ostoi.
Puchy miękkich traw, przelatujące w ciepłym wietrze!
O, urodzone z nas, kwiaty...
Wewnątrz waszych łodyg, w tkankach waszych badyłów
krąży ciało i krew.
Wasz zapach, to nasze westchnienia.
Woniejąca rodzino nasza, bracia i siostry.
Jesteście łkaniem naszych piersi, jesteście płomieniem naszych żył
O, usta nasze i oczy umarłe...

NAPISAŁ STEFAN ŻEROMSKI.

:NA PUSZCZY: FRAGMENT Z DRAMATU

Po odejściu zgromionego Kusiciela, SYN CZŁOWIECZY podnosi

oczy i ręce ku niebu i poczyną się modlić:

O Panie!

wszak Twoja dłoń mię, Twego Syna, wsparła,
iżem pokonał dumnego szatana!

Oto się ciemność przedemną rozdarła —
widna mi droga w promieniach skąpana
Twej łaski, Boże!

Jakże mi błogo, jakże mi świetlanie!

Oto w mej duszy jest wesela morze:

ja wiem, Tyś posłał mnie na łan żywota,
bym koniec zimie

wieścił a mówił, że już wiosna złota

miłości idzie, a zaś w Twoje imię

wszem błogosławił!

Więc, żeś mnie postawił

jako żórawia, co odbywa czaty,

skąd wzejść ma słońce nad uśpione światy,

iżeś mi kazał być zorzy zwiastunem,

nie ptakiem burzy, ciszą, nie piorunem:

ja Tobie, Boże Ojczy, błogosławię!

I wszystkim światom, dla których zaranie

Twej łaski niosę, wiekuisty Panie,

i wszystkim ludziom, którzy tam uśpieni

wśród nocy tęsknią do jasnych promieni:

ja błogosławię!

Tym, co dzień cały pracowali w pocie

i głodni do snu ułożyli głowę

na twarde łoże:

zanim jutrenka ich w porannem zlocie
zbudzi na trudy nowe,
w Imię boże
ja błogosławię!
Tym, którzy cierpią i tym, którzy płaczą,
tym, którzy tęsknią lub mają nadzieję:
zanim wschodzącą jutrenkę zobaczą,
zanim zadnieje,
ja błogosławię!
Tym, co się cieszą i tym, co weselą,
ludziom czystego serca, dobrej woli,
tym, co się chlebem z swymi braćmi dzielą,
co też sięją rosę
na spiekłe czoła bólu i niedoli:
ja pokój niosę
i błogosławię!
Ludzkiemu snowi i ludzkiemu sercu,
i dzieciom wszystkim, i stadom na łąnie,
i latorośli winnej, co dojrzewa,
zbożom i kwiatom na łąki kobiercu,
i polnym liljom i ptactwu, co śpiewa:
w Twe Imię, Panie,
ja błogosławię!
Niechaj miłości wszędzie światu zorza
i pokój niech zejdzie na chaty,
a cisza boża
niechaj utuli ludzi, owce, kwiaty,
wszystko, co pachnie, wszystko, co oddycha,
wszystko, co płacze, wszystko, co się śmieje,
rośnie lub usycha,
cierpi, albo ma nadzieję!

Kłęka i skroń chyli ku ziemi:

A jeśli serce Twe ofiary pragnie —
otom jest Ci jagnię...

Upada twarzą na ziemię.

SZUM WIATRU OD MORZA.

Na skrzydła moje, na skrzydła szerokie,
na skrzydła szybkie i lotne a ciche
twych błogosławieństw rosę
wziąłem i niosę
na chaty niskie, na lepianki liche,
na polne kwiecie, na cedry wysokie,
na owce, zboża i dzieci,
na świat daleki,
pokąd słońce świeci;
na skrzydła moje, na skrzydła szerokie
twych błogosławieństw rosę
wziąłem i niosę,
jak dżdżów wiosennych życiodajne zdroje
w dzień spieki;
na skrzydła moje
twych błogosławieństw rosę
wziąłem i niosę
na świat daleki...

SYN CZŁOWIECZY *wznosi głowę i ręce:*

Jak wiatr ten, który tam w górze szeleści
nademną, Panie,
tak miłość moja
niechaj ochłoda będzie dla boleści;
jak morze
niechaj się stanie,
w którym jest słońcu wschodzącemu łożo,

łodziom ostoja
i niebu Twemu zwierciadło, o Boże!

Stania się na głaz.

SZUM WIATRU OD MORZA.

Śpij, synu człowieczy,
Śpij, świata kochanku,
niech Pan cię ma w pieczy,
niech słodki sen oczom twym ześle,
nim światło poranku
powita cię w bożem rzemieśle —
śpij, synu człowieczy!...

*Z opuszczających się ku ziemi obłoków zstępują Anioły. Na-
przód idą Anioły z liljami i harfami w ręku, całe w bieli;
za nimi Anioły purpurowe z płomiennymi mieczami; na
ostatku idzie Anioł w czarną szatę odziany, z czarnymi skrzy-
dły i spuszczoną głową. Na piersi w złożonych rękach trzyma
duży, jaśniejący Krzyż.*

SYN CZŁOWIECZY *zapatrzony w widzenie:*

Oto się nieba opuszczają krańce,
oto są Boga mojego wysłańce!

ANIOŁY.

Ku ziemi nieb się opuszczają krańce,
jesteśmy oto, my boże wysłańce!

SYN CZŁOWIECZY.

Ich śpiewy dzwonią jak echo,
jak wiatr ich skrzydła łopocą...

ANIOŁY.

Oto idziemy z pociechą,
idziemy z mocą!

SYN CZŁOWIECZY.

Anioły boże!

ANIOŁY.

Pan cię wysłuchał, Pan nakłonił ucha
prośbie twojego ducha!

SYN CZŁOWIECZY.

O Panie, Panie, Panie!
światłości morze!

ANIOŁY W BIELI.

Harf niebieskich granie,
harf złotostrunych, dostrojonych granie,
które ból serca ukaja i leczy,
a zaś lilije bez skazy,
nad szat piękniejsze królewskich przepychy,
piękniejsze sto razy,
niesiem ci, synu człowieczy,
pokorny i cichy!

Przechodzą.

SYN CZŁOWIECZY.

O Panie, Panie, Panie!
jak mi serce bije! —
harf niebieskich granie
i Twoje lilje, te śnieżne lilje!

ANIOŁY W CZERWIENI.

Ogniste miecze, miecze płomienne
i błyskawice jaśniejące, żrące —
na znojne żniwo bożego plonu,
na trudyienne,
noce bezsenne,
walki gorące —
niesiemy tobie, proroku
nowego zakonu!

Przechodzą.

SYN CZŁOWIECZY.

O Pani! tajnie jawisz memu oku!

ANIOŁ CZARNY *staje przed nim w milczeniu.*

SYN CZŁOWIECZY.

A ciebie jakie poselstwo przywiodło?

ANIOŁ CZARNY *wyciąga ręce i trzyma krzyż przed klęczącym.*
Oto twoje godło!

Widzenie znika. Niebo szarzeje świtem.

SYN CZŁOWIECZY *który powstał.*

Pusto znów, — niebo zawarte nademną...

Czy sen mnie zmorzył? —
czy Pan niebieskie podwoje roztworzył
i zjawę oczom pokazał tajemną?...

Oto się ptasząt odzywa śpiewanie,
zorzą łśni niebo i dzień się już budzi...

Rozumiem, Twój to dzień jest, Pani!

Podnosi ręce i woła wielkim głosem.

Do ludzi! do ludzi!

:NAPISAŁ JERZY ŻUŁAWSKI:

Z DRAMATU :NOC LISTOPADOWA:

*Rzecz odbywa się na scenie teatru króla Stanisława Augusta
w ogrodzie Łazienkowskim w Warszawie. Noc; drzewa opadłe z liści.*

DEMETER Z CÓRKĄ KORĄ ŻEGNA SIĘ:

KORA.

Powiedz mi Orkus w noc,
w świat ciemny wichrów burz;
nie zaznam słońca już,
nie zaznam twoich ust, twych ocz;
o matko, żegnaj dziecko.

DEMETER.

Żegnaj mi dziecko, żegnaj córo;
Orkus cię czeka, Orkus wzywa,
musisz zejść k'niemu nieodbycie;
zejdziesz w kraj śmierci, poślubiona,
kędy się żenie Moc straszliwa,
Moc niezblągana, bezlitośna.
Pomnisz, pamiętasz wielą laty,
jakom płakała lubej straty
i skargi wodziłam żałośna.

KORA.

Orkus mnie wzywa, idę żona,
przez letni jeno czas szczęśliwa,
gdy z tobą matko, bliska tobie; —
a oto dzisiaj znów w żalobie,
drogą, co wiedzie do podziemu,
idziem i płaczem obie.

DEMETER.

Pocałuj usta, całuj oczy;
tak-że się smutkiem lice mroczy

i całun biały cię otula
a przedsię róż z twych lic nie płoszy —?

KORA.

O matko, przykrać ta koszula,
którą przywdzieję ślubna jemu,
przemieszkująca tam w pustoszy.
O matko, przykreć to wezgiowie,
które podadzą służebnice,
gdy legnę w jego łóżnice.
Jakoż uchylę moich losów?
Orkusa miłość jak oddalę?
Ja Orkusowi ślubowana,
czarem miłości zniewolona;
oto się już tajemnie palę
i oto już tajemnie płonę,
bym jego uznała pana
a on przytulił mnie żonę.

DEMETER.

O córo, żegnaj ukochana;
matczyne serce pogardzone;
już mnie nie trefić twoich włosów,
ostatni raz tve plotłam kosy;
już mnie nie stroić tobie szatki,
już idziesz precz od matki;
jeno mi dziwno, że twarz płonie,
że twoja twarz w rumieńcach;
tyżeś się stała zakochana,
żeś w ślubnych wyszła wieńcach?

KORA.

O matko, wstydem przed cię płonę

a żar me piersi pali, —
żeście mi poznać miłość dali;
wszakżeż wieźcie mnie dziś żonę,
więc się ten płomień w licach trwali;
przetom spłoniona i rumiana,
żem matko, mocno zakochana
i tobie wyznać muszę.

DEMETER.

Jakoż te więzy twoje skruszę.

KORA.

O nie sąć one nieznośliwe.

DEMETER.

Teć więzy ciebie mi odbiorą.

KORA.

O matko, letnią wrócę porą.

DEMETER.

Do lata, wiosny czekać długo.

KORA.

Muszę do czasu tam być sługą
i muszę jemu żoną.

DEMETER.

Pierwej-że z matką twą rodzoną
być tobie wolną i dziewiczą,
niż tam w podziemiu niewolniczą.

KORA.

O matko, przedsię przepomniała:
w ogniach miłości stoję cała, —
czas bym odeszła już.
Żegnaj mi, żegnaj matko dżicie;

z wiosną mię drugą znów ujrzycie,
odchodzę precz w kraj snów.

DEMETER.

Odchodzisz w ciemnie wichrów, burz;
nie zaznasz słońca już.

KORA.

Za drugą wiosną wrócę znów.

— — — — —
Pamiętasz, matko, jako lecie
ustroiłam się w żywe kwiecie
i biegłam do cię w śpiewie, z pola...

DEMETER.

Spominasz darmo dzień wesoły
na dniu, gdy obie płaczem społy,
że nieodmienna tobie dola,
że giniesz dla mnie, twej macierze,
gdy cię za żonę Orkus bierze
i za Styg wiedzie, ku otchłani,
gdzie będziesz włada i pani.

KORA.

O matko, Hymen mnie powiedzie
w orszaku sług na przedzie,
pochodnię smolną spali jasną;
sługom na czoła wieńce włoży
i śpiew zanuci pochodowy,
jako mam zacząć żywot inny,
zasiadłszy tron królowy.

DEMETER.

O córko, rzucasz matkę własną;

w pochodniach, które dla cię płoną
żywoty onych gasną.

KORA.

Z wiosną, gdy pierwsze lody spłyną,
gdy pierwsze wichry powioną,
wrócę i żywot zacznę nowy.

DEMETER.

Rzucasz mnie, — to ostatnie chwile,
jako na ciebie patrzę żywą.

KORA.

Ja matko będę tam szczęśliwą.

DEMETER.

A przedsię droga to cmentarna.

KORA.

Tajemnic tobie część uchylę;
nie jestem ci ja matko ubogą;
bogate podziemiu śpichlerze:
z każdego owocu się bierze
nasienie i skrzętnie kryje;
tam przechowują się ziarna
a jak je przyniosę na świat,
to każde kwiatem odżyje
i owoców urodzi mnogo.

DEMETER.

Patrz! wszystkie pędy pomarnieją,
gdy nocą wichry powieją;
patrz, oto martwy konar drzew.

KORA.

Pamiętaj, matko, wczesny siew.

Spieszno mi odejść, spieszno tam,
gdzie stróżką ziarn być mam
i zgarnąć wszystek plód.
Rzeczy tajemne tam się dzieją;
nie mogą się bezemnie stać.

DEMETER.

Opuszczasz mnie, mnie swoją mać, —
do serca podszedł chłód;
już idziesz, biegiesz, spieszysz.
Marnieją moje letnie chudoby;
o bezlitośna, ty się cieszysz
a mnie ostawiasz groby.

KORA.

Z tajemnic moich, matko, znaj:
Jest inny tamten kraj,
kędy są wiecznotrwale siły;
z tych coraz nowy rośnie pęd
i wzejdą i będą rodziły.
Tam wszelki żywot ma swój byt
i czeka, aż dlań błysnie świt
i czeka, aż dlań przyjdzie czas:
zajaśnieć pełnią kras.

DEMETER.

A te zwarzone, kędyż legną;
im-że w barłogu zimnym gnić...

KORA.

Umierać musi, co ma żyć...

DEMETER.

Ty na śmierć wieszysz twe służebne!

Poznaję miłość twą przekłątą
i moc i słowa twe wróżebne.

KORA.

My oto, matko, zmartwychwstaniem
na wielkie siewu święto.

DEMETER.

Już palą dla cię pochodnie!!
(*Wchodzi Hymen i jego orszak i otaczają Korę.*)

KORA.

Z tajemnic moich, matko, wiedz:
Gdy wszystko żywe musi leż
pod ręką, która znaczy kres,
śmierć tych użyźnia nowe pędy
i życie nowe sieje wszędy.
Więc smutna, matko, tem rozstaniem,
ale weselna tajemnicą,
szaty przyoblekłam godnie.
Poniechaj żalu, niechaj łez.

DEMETER.

Obłędna, ztamtąd nikt nie wraca;
Przysięgą zguby więzisz duszę.

KORA.

Gdy więzy śmierci skruszę
i zieleń pędów nowych rzucę
na niwy, łęgi, na zagony, —
o matko, Bogów godna praca! —
sposobić każ lemieszę, brony...

DEMETER.

Śmierć biorąc żywa, spełniasz zbrodnię.

KORA.

Zaś w nieśmiertelnych wieńcu wróć.

Muzyka weselna poczyna grać.

DEMETER.

Noc cię uwodzi w wieczność ciemną.

KORA.

Pochodnie święte nieść przedemną!!

Przedemną weselne pochodnie!!!!

Orszak muzyką weselną otacza Korę i wprowadza.

:NAPISAŁ STANISŁAW WYSPIAŃSKI:

Żył z nami, kochał i cierpiał z nami, i nic, co szlachetne, nie było mu obojętnem. Miał młodość górną i chmurną, a wiek jego męski nie był wiekiem klęski, lecz wiekiem orki i zasiewów. Orał serca, siał miłość.

Miłość — ta była główną władzą, główną siłą, główną treścią jego duszy.

Siwa jego głowa o orlim nosie, niebieskich, młodzieńczych oczach, zawsze była otoczona wieńcem głów młodych. Nie nosił jej dumnie, jak wódz, ani zdobył jej uśmiechem życzliwości ojcowskiej lub pobłażania doświadczonego starca. A jednak wszystkie młode głowy przed nią schylały czoło. Cóż je skłaniało?

Sewer był pisarzem znakomitym — mieliśmy i mamy większych. Był indywidualnością wysoce zajmującą. W wieku szablonu umiał być oryginalnym. Styl odrębny, żywość, zapał i humor jego pism — to słaby zaledwie odbłask tego temperamentu polskiego, który w życiu codziennem skrzył się dowcipem, intrygował oryginalnością, kipiał niewyczerpaną werwą; — dokumenta to duszy głęboko artystycznej, dalekiej od wszystkiego, co czuć szablonem i filisterstwem. I istotnie — Sewer w życiu był więcej jeszcze artystą, niż w pismach, był za wsze artystą. Poeta wielki musi być dzieckiem wielkim — patrzeć na świat, jakby ten dopiero został stworzony, umieć się dziwić. Inaczej nie będzie robił odkryć. Sewer chodził po świecie, jak poeta i jak dziecko: wszystko go zajmowało, wszystko dlań było świeżem i nowem, wszystko sam chciał i umiał odkrywać. Stąd

bezpośredniość, żywość, indywidualność jego stylu i wszystkich jego poglądów. W stosunku osobistym musiało to każdego wrażliwego człowieka podwójnie czarować.

Ale i tego nie dosyć.

I nie dosyć też, że Sewer przy niewyczerpanej swej wrażliwości artystycznej był charakterem silnym, skryzalizowanym, umysłem do głębi zrównoważonym. Tensam charakter, który kazał mu ongi rzucić gładką, kwiecistą drogę i obrać najeżoną kolcami i niebezpieczeństwami, do ostatniej chwili życia okazywał głęboką wzdargę wszystkiemu, co niskością, zaprzaństwem, oportunistycznym; tensam umysł, który przesiąkł był najwyższymi ideami roku 1863 i w Anglii zdobył pod nie granitową podstawę wiedzy i demokracji współczesnej — do ostatniej chwili tym ideałom pozostał wiernym. A jednak niejedyni przedstawiciele przeciwnych obozów garnęli się do niego; otaczali go ludzie rozmaitych, nieraz wrogich sobie przekonań. Dom jego był jednym z najbardziej wszechpolskich.

Bo duszą Sewera była miłość.

Niemcy, którzy wszystko potrafią wytłómaczyć, lubo nie wszystko praktykować, określili, że miłość to stan, w którym człowiek człowiekowi nie środkiem jest, lecz celem.

Sewer — natura rdzennie polska — żył zawsze miłością. Ktokolwiek do niego się zbliżał, wchodził w falę ciepła i światła. Wcześniej niż „dzieło“, niż oryginalność człowieka, niż temperament artysty, odzywało się z niego serce. Stanowczy, nieubłagany względem tych, u których przeczuwał złą wolę, dla wszystkich innych promieniał sercem. Ta dusza narodowa, która w najwyższym swem wcieleniu serce uczyniła punktem środkowym świata, sercem rządzić chciała i Boga do walki na serca wyzywała — dusza ta u niego przejawiała się nie tem napięciem, do którego zdolny tylko geniusz, ale też nie tą wybuchowością, do której zdolny także człowiek słaby,

zato nieskończonym szeregiem czynów, uczuciem zawsze gorejącym, praktyką i afirmacją codzienną. Był wielkim siewcą miłości...

I miłość jest też duszą wszystkiego, co Sewer napisał. Popularny frazes literacki włożył nań maskę bezustannej pogody, ustroił ją w uśmiech wiecznego optymizmu, kazał mu malować zawsze „w słońcu“. Jestto konwencyonalny frazes. Pisarz, który tyle namalował straszliwych dramatów chłopskich (*Przybłądy*) i dał nie-miłosierną, klasycznej wielkości tragedję Marcina Łuby, pisarz, który tak czarno malował braci szlachtę (*Pan Marszałek*) i tak tragiczne tony wydobywał z walki obozów społecznych w Galicyi (*Ponad siły*) nie był zaiste optymistą. Sewera filozofia nie polegała na tem, by patrzeć na świat jednym tylko okiem. On wszystkimi widział — przytem jednak także kochał. Dlatego nie był naturalistą, uznającym w człowieku tylko grę sił fizycznych — w każdym atomie doszukiwał się iskry ducha. Dlatego przedstawivszy starego Biedronia w całej nagości jego egoizmu i srogości — rzuca mu promień przebaczenia. We walce dwóch zasadniczych pierwiastków życia każe zwyciężyć dobremu. Nie skutkiem nieświadomości złego, jak optymista, skąpany zawsze w słońcu, uśmiechnięty pogodnie, jak dziecko naiwne, nie domyślający się kolców u róży, a cienia obok blasku; człowiek-to miłości, który po ciężkim pasowaniu się z sobą samym życie miłością *przezwyceża*. Tylko w ten sposób powstaje religia, powstaje filozofia, powstaje w życiu narodowym i społecznym idea bohaterstwa, zapal tworzący cuda. Spogląda temu życiu, które jest każdemu uduchowionemu człowiekowi wrogiem i „lasem samotrzasków“ prosto w oczy i wznosi się nad nie miłością.

A miłość ta nigdy nie jest słabością. Ani względem siebie, ani względem drugich. Sewer, jako wychowawca, jest nieoceniony. Z pól przyszedł i z łąk rodzinnych, gdzie z naturą trzeba walczyć bezpośrednio, oko w oko, dłonią własną z jej łona wyrywać chleb powszedni; z ognia przyszedł, gdzie z wrogiem trzeba było walczyć

piersią o pierś, wśród gradu pocisków i gradu zrad — jego pisma są też pełne rzeźwej, krzepiącej woni ziemi i elektryzujących hasel bojowych. Jak u prawdziwego oracza i bojownika, wszystkie one napięte myślą jedną, jak łuk cięciwą: tęsknotą ku jutru, miłością ku temu co będzie. Nie folguje sobie wypoczynkiem, beztreściwym rozmarzeniem, igraszką pustą; wpatrzony w gwiazdy nadchodzące — nie mitręży czasu, nie patrzy za siebie. Potomek ten rodu senatorskiego, jakby pozbawiony był zmysłu historycznego; nic nie miał w sobie z chwalczy czasów minionych, nie idealizował ani starego sługi, ani jego pana, rządzącego berłem szlacheckim; nie otaczał aureolą tego, na co historia wydała już swój wyrok. Wzrok miał natężony tylko ku temu, co idzie, co płynie z jutrem. Stał zawsze na pokładzie — wyglądał lądu dla pozbawionego trwałej podstawy bytu narodu.

Dlatego starzec ten siwowłosy kochał przede wszystkim młodzież: „Młodą Polskę“. Nie było w nim nic ze starczej chęci grzania się przy młodych. Już w pierwszych jego utworach (*Szkice z Anglii, Pojedynek szlacheckich*, 1875) mamy tę apoteozę nie tylko młodości, lecz i młodzieży, zespolenie się z nią jednym uściskiem, który nierozwalny trwa do ostatniego dnia żywota. Kochał młodzież i wszystko co młode: więc i w społeczeństwie te warstwy, które nieobciążone balastem klęsk i przywilejów, świeże, jakby dopiero narodzone, pędem ku przyszłości idą. Kochał i opiewał artystów, tych boskich młodzieńców, których wiarą świat się zaczyna i świat się przetwarza; ludek ten niespokojny, wyrzucający z siebie coraz to nowe fermenty, coraz to nowe kielki i mający jedną właściwą pasję i misję jedną: uświadamiania — w inny sposób, niż to czyni nauka — przyrody. Kochał te warstwy narodu, które nieme dotąd i bezwolne, podnoszą się coraz potężniejszym ruchem od ziemi, a tym ruchem i swojemi barkami Polskę dźwigną. Z zapalem więc wita pionierów przemysłu, oskardami

torujących drogę nowym prawdom — starym ideałom; ciepły, serdeczny uścisk dłoni ma także dla Zyzmy. Wiarą najwyższą i miłością najwyższą otacza lud. Spogląda Sewer na chłopca zupełnie realistycznie, widzi w nim splot atawizmów i namiętności pierwotnych, interesów brudnych; ale temperament poety każe splot ów widzieć pięknym, gdy jest czystym, silnym, z łonem matki-ziemi związanym żywiołem, kultura zaś poety każe splot ten zamieniać we wstęgę o najwspanialszych blaskach, gdy na nią pada słońce wielkiej idei. Chłop Sewera nie wyrósł zbytnio ponad stopień cywilizacji pierwotnej; prymitywne jego instynkty są zaledwie maskowane chytrą; jego chciwość ziemi prze go nieraz do zbrodni; miłość dziewcząt nie zawsze pyta o małżeństwo, a małżeństwo — rzadko o miłość; wszystkie siły skierowane ku posiadaniu gruntu, z którego płynie estyma u całej gromady a niemiłosierny kontrast między arystokracją a demokracją wiejską. Maluje te czynniki Sewer z całym realizmem, doprowadzonym nieraz do napięć i przejść wysoce tragicznych. Ale gdy w tym ludzie zaczną grać siły i potęgi bezwiedne, związane organicznie z całą matką naturą, gdy n. p. jara, hoża dziewczyna, dusząca się wśród murów miejskich, znowu rzuci się na łono wsi, gdzie oddycha wszystkimi jej porami, wchłania wszystkie jej piękności — wtenczas mamy uosobienie „Wiosny“, koncert czystych, głębokich i zdrowych strun w duszy ludzkiej — i bez czułości i bez przestarzałych sentymentów. Gdy z tego ludu, wolnego od cherlactwa i zgnilizny, wyrwą się jednostki i skąpią w źródłach wiedzy, etyki, cywilizacji wyższej — wówczas, stojąca nawet na pierwszych szczeblach tej drogi, baba wiejska zmieni się w bohaterkę, urośnie na założycielkę nowych rodów, kipiących energią, wierzących i świętych wiarą, mających odzyskać WSZYSTKO, co dawne, zużyte zmarnowały („Matka“), a młodzieńcy urosną w fanatyków prawdy, wplatających się dla niej w tragiczne koło walk i męzarń. (Jan Łuba).

I wpatrzony w lud ten, wraz z nim zrosnięty z ziemią, głową jednak sięga nieba; stojąc silnie na ziemi czarnej, wśród jasnych głów dziatwy piastowskiej, zasnuwa się równocześnie w mgłę mistyczną; sercem idzie za *Legendą* wiejską, równocześnie, jakby w przeczuciu bliskiego zgonu — w zaświaty, w nieskończoność...

:NAPISAŁ WILHELM FELDMAN:

:PRZYPowieŚĆ:

Onego czasu, gdy „Wzniosły“, zrażony niepowodzeniem w odwodzeniu ludzi od poszukiwania drogi zbawienia za pomocą strasznych udręczeń i tortur ciała, szukał ukojenia i krzepił się przez obcowanie z przyrodą i czyny miłosierdzia, zdarzyło się, że przybiegła doń niewiasta młoda i piękna, imię Kisagotami nosząca, i drżąc cała, z płaczem przypadła do stóp Wielkiego Nauczyciela.

— Co ci jest, o siostró moja miła — łaskawie zapytał „Wzniosły“.

— O panie, dzięki Ci — odrzekła płacząca — że w Majestacie Swym przyjmujesz mnie tak łaskawie, bądź że również miłościw i wysłuchaj mnie także.

„Wzniosły“ swym uśmiechem łagodnym dał znak, że przychyła się ku prośbie pokornej i niewiasta tak mówić zaczęła:

— O Doskonały! Od lat czterech jestem matką jedyne go dziecka. To dziecko, skarb mój bezcenny — cudny kwiat miłości mojej najczystszej, wczoraj wychodząc na chwilę z domu, zostawiłam w ogródku, bawiące się wśród kwiecia i zieleni. — Po powrocie ujrzałam przerażona, że dziecko bawi się ze żmiją, która splotami opasała rączkę miluchną — rączkę z ufnością włożoną w paszczę straszną. Jakkolwiek natychmiast odjęłam żmiję, jednakże wydało mi się, że ciało drogie jakdyby stygnąć zaczyna, a na rączce dostrzegłam dwa ledwo widzialne znaki krwawe, jakby z ukłucia pochodzące. — Widocznie dziecko ukąszonem zostało.

— Wszyscy sąsiedzi, do których po ratunek pobeigłam, jednomyślnie wskazali mi Ciebie, o Panie, jako jedyne go z ludzi, który lekarstwo skuteczne dać mi może. O „Doskonały“, udziel mi lekarstwa cudownego! Ratuj dziecęg moje!

„Wzniosły“ odrzekł jej:

— O siostrę miła! Dam ci żądane lekarstwo. Ono pomoże najpierw tobie a później i dziecęgciu twemu. Znajdź, mianowicie, kilkanaście ziarn gorczycy tegorocznego zbioru i gdy otrzymasz owe ziarna, zapytaj czy w domu owym nie oplakują kogokolwiek zmarłego, — kogokolwiek, choćby sługi lub niewolnika i jeżeli się okaże, że oplakują, oddaj udzielone ci ziarna, gdyż one skutecznymi nie będą. — Gdy zaś znajdziesz dom, w którym nie płaczą po nikim, biegnij ze ziarnami co prędzej do domu, rozetrzej je i przyłóż do rączki dziecęgciu. Lekarstwo podziała cudownie.

Na drugi dzień około południa „Wzniosły“ siedząc na swej skale, ujrzał duże stado owiec, pędzonych na ofiary krwawe do króla w państwie onem. Zobaczywszy w stadzie jagnię kulawe, które iść nie mogło i widząc rozpacz owcy, beczącej nad jagnięciem, postanawia nieść za stadem to jagnię i jednocześnie spróbować czy nie uda mu się skłonić króla w państwie onem do zaniechania strasznych ofiar krwawych.

I oto gdy szedł za stadem z jagnięciem kulawem na ręku, nadbiega doń powtórnie Kisagotami, łzami zalana i chyląc się ku nogom jego, mówi, że oto napróżno dobę całą chodziła, lekarstwa cudownego szukając, gdy bowiem ziarna tegorocznej gorczycy były prawie w każdym domu, na nieszczęście nie mogła znaleźć domu, w którym nie oplakiwanoby zmarłego, zabiegła mu więc teraz drogę i powtórnie błaga o radę.

Na to odrzekł jej „Wzniosły“.

— O miła Kisagotami moja! Szukając tego, czego niema na

świecie, znalazłaś to jedyne gorzkie lekarstwo, które dać ci chciałem. Twoje dziecęg jeszcze wczoraj umarło, a ty dziś już wiesz, że niedola, która cię dotknęła, jest udziałem wszystkich i wspólną niedolę znieść ci będzie łatwiej...

— Krwi bym ci własnej utoczył, aby osuszyć łzy twoje!

— Krwią bym zapłacił za sekret przekleństwa, zamieniającego naszą miłość na ciągłą trwogę i wieczną tęsknotę, przekleństwa — pędzącego ludzkie plemię — jak my pędzimy te owce nieszczęsne, na jakieś straszne hekatombie!... Idź i pochowaj swe dziecęg.

Z LEGEND BUDDYJSKICH ARNOLDA
:PODAŁ ADAM SZYMAŃSKI:

Wielki...
Kilka...
Wielki...

Wielki...
Kilka...
Wielki...

Wielki...
Kilka...
Wielki...

Wielki...
Kilka...
Wielki...

PODAJ ADAM SZYMAŃSKI
LEON RUDOLPH

FRESK

Wielki...	1
Kilka...	2
Wielki...	3
Kilka...	4
Wielki...	5
Kilka...	6
Wielki...	7
Kilka...	8
Wielki...	9
Kilka...	10
Wielki...	11
Kilka...	12
Wielki...	13
Kilka...	14
Wielki...	15
Kilka...	16
Wielki...	17
Kilka...	18
Wielki...	19
Kilka...	20
Wielki...	21
Kilka...	22
Wielki...	23
Kilka...	24
Wielki...	25
Kilka...	26
Wielki...	27
Kilka...	28
Wielki...	29
Kilka...	30
Wielki...	31
Kilka...	32
Wielki...	33
Kilka...	34
Wielki...	35
Kilka...	36
Wielki...	37
Kilka...	38
Wielki...	39
Kilka...	40
Wielki...	41
Kilka...	42
Wielki...	43
Kilka...	44
Wielki...	45
Kilka...	46
Wielki...	47
Kilka...	48
Wielki...	49
Kilka...	50
Wielki...	51
Kilka...	52
Wielki...	53
Kilka...	54
Wielki...	55
Kilka...	56
Wielki...	57
Kilka...	58
Wielki...	59
Kilka...	60
Wielki...	61
Kilka...	62
Wielki...	63
Kilka...	64
Wielki...	65
Kilka...	66
Wielki...	67
Kilka...	68
Wielki...	69
Kilka...	70
Wielki...	71
Kilka...	72
Wielki...	73
Kilka...	74
Wielki...	75
Kilka...	76
Wielki...	77
Kilka...	78
Wielki...	79
Kilka...	80
Wielki...	81
Kilka...	82
Wielki...	83
Kilka...	84
Wielki...	85
Kilka...	86
Wielki...	87
Kilka...	88
Wielki...	89
Kilka...	90
Wielki...	91
Kilka...	92
Wielki...	93
Kilka...	94
Wielki...	95
Kilka...	96
Wielki...	97
Kilka...	98
Wielki...	99
Kilka...	100

ODBITO NAKŁADEM AUTORÓW W KRAKOWIE ROKU 1902
CZCIONKAMI DRUKARNI UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SPÓŁKI.

: TREŚĆ :

<i>MARYAN ZDZIECHOWSKI: PRZECZUCIOWOŚĆ W TWÓRCZOŚCI SEWERA</i>	5
<i>MICHAŁ SIEDLECKI: Z GŁĘBIN</i>	11
<i>WŁADYSŁAW REYMONT: PANAJEZUSOWY BUREK, FRAGMENT Z POWIEŚCI P. T. »CHŁOPI«</i>	45
<i>TADEUSZ MICIŃSKI: MSZA KONAJĄCYCH</i>	50
<i>WŁODZIMIERZ TETMAJER: PIAST. Z AKTU TRZECIEGO: SCENA POSTRZYŻYŃ</i>	54
<i>KAZIMIERZ TETMAJER: URYWEK Z WIERSZA P. T. »WIATR«</i>	65
<i>ANTONI LANGE: WIELKI DZWON</i>	66
<i>KONSTANTY MICHAŁ GÓRSKI: TERCYNY</i>	69
<i>LUCYAN RYDEL: Z ILIADY HOMERA PIEŚNI XXIV</i>	70
<i>WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI: DUCH, KTÓRY WŁASNYM OGNIEM SWOIM ŚWIECI</i>	77
<i>STEFAN ŻEROMSKI: NAPIS</i>	78
<i>FERZY ŻUŁAWSKI: NA PUSZCZY, FRAGMENT Z DRAMATU</i>	79
<i>STANISŁAW WYSPIAŃSKI: Z DRAMATU: NOC LISTOPADOWA</i>	85
<i>WILHELM FELDMAN: WSPOMNIENIE</i>	93
<i>ADAM SZYMAŃSKI: PRZYPOWIEŚĆ</i>	99